Rocznik III. Kraków, 25 września i 10 października 1898. Nr. 18 i 19.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Redaktor Kazimierz Bartoszewicz.

Przegląd wychodzi dwa razy na miesiąc.

Listy, artykuły, książki, należy przesyłać pod adresem Redakcyi.

Przedpłata wynosi:
w Krakowie rocznie 6 zlr. w. a. — półrocznie 3 zlr. — z przesyłką pocztową rocznie 6 zlr. 80 ct. — półrocznie 3 zlr. 40 ct.
Za granicą: rocznie 16 franków, 12 marek, 6 rubli, z przesyłką 7 rs.
Cena numeru 50 ct. w. a.

Ogłoszenia po cenie 10 ct. za wiersz petitowy, za całą stronicę 20 zlr. przyjmuje Administracya.

W Poznaniu skład główny w księgarni J. Leitgebra, w Petersburgu w księgarni K. Grendyszyńskiego.

Adres Redakcyi: ulica Floryjańska l. 41. — Administracya: w księgarni G. Gebethnera i Spółki.

Ze zbiorku „Portrety poetów“

JAROSŁAWA VRCHLICKIEGO.

Słowacki.

Muzyka muszli, gdyś ją wziął do ucha,
Pył, co na modrych błyszczy skrzydłach ważki,
Wszelakie Wschodu cuda i igraszki,
Gdzie znikłe raje jawią się dla ducha.

To ryk wulkanu, drżenie w dzień stworzenia
Gwiazd, płacz anioła, gdy dola szczęśliwa,
I sen radości, co się w łzy rozpływa,
I pieśń, po latach budząca wspomnienia.

To wszystko dla mnie brzmi w Twej lutni społem.
I ukołysam pieśnią, co zachwyca,
Pragnąłbym usnąć, nie zbudzić się wcale.

Lecz ogień, który żarzy pod popiołem,
Nagle ku Niebu tryska w cudu szale,
I w blasku jego płonie — popielnica.

Krasiński.

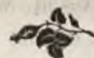
Głębokie serce, Bogiem wskroś przejęte!
Zaiste anioł usta jak proroka
Żarem oczyścił Tobie i z wysoka
Twe skrzydła ducha rozkołysał święte.

Na życia Twego drodze złej, ciernistej
Zrywałeś wszędzie nieśmiertelne kwiaty
I miałeś w sercu, w któreḿś nosił światy,
Wryte wsze rany Twej ziemi ojczystej.

Kiedyś w kolebce śnił swe sny dziecięce,
Dante całował czoło cnej dziecinie
I cierpień dolę wkładał w słabe ręce.

Żyłeś jedynie, wpatrzon w przyszłą zorzę,
Jakby latarnia, co rzuca blask w morze,
Nim człowieczeństwa ranek zeń wypłynie.

Przełożył z czeskiego *Bronisław Grabowski.*



Z dziejów pomnika.

(Ciąg dalszy).

Po ogłoszeniu wyniku konkursu i po otworzeniu wystawy wszystkich nadesłanych modeli, nastała zupełna cisza. Nie była to jednak cisza przed burzą, co gromy w sobie mieści, ale spokój prawdziwy, cisza zadowolenia. Wszyscy odetchnęli czując, że nareszcie zgodnie i pomyślnie zakończy się sprawa, która tak długo drażniła ogół, tyle wywoływała nieporozumień. Sąd konkursowy odbierał powinszowania, całe dziennikarstwo zgodnie wyrażało swe zadowolenie. Nigdzie nie słychać było żadnego protestu, żadnych sporów, żadnej walki. Jeżeli byli jacy niezadowoleni, to znajdowali się co najwyżej w tej garstce rzeźbiarzy, którym nie udało się zdobyć nagrody. Utyskiwania ich jednak na „czarną intrygę“ nie wywoływały wrażenia.

Pierwszy raz od lat wielu sprawa stała dobrze, pierwszy też raz nikt nie przypuszczał, aby ją czekały jakie niespodzianki. Były trzy projekty dobre, każdy z nich był dziełem rzeźbiarza znanego i uznanego. Szło więc tylko o wybór między niemi, aby nareszcie przystąpić do wykonania pomnika. Nikt po prostu nie miał już chęci do sporów — o wynik konkursu stępiło się ostrze

broni polemicznej. Co najwyżej pobudzona była ciekawość, kto wyjdzie zwycięzko z pomiędzy trzech laureatów.

Ogólne zadowolenie nie było na rękę komitetowi pięciu. Postanowił dowieść, że jego nic nie obowiązuje, że on, potężny i wszechmocny, może wszystko obalić i zrobić jak mu się podoba. Wszyscy się zgadzają, a więc on się nie zgodzi. Co jego obchodzą warunki konkursowe, co go obchodzi sąd znawców, i opinia ogółu! Sprawiedliwość każe przyznać, że właściwie to może tylko jeden członek komitetu miał takie pojęcie o swojem nieograniczonem dyktatorstwie. Matejko, zniechęcony niepowodzeniem swoich projektów, przestał się całkiem mieszać do sprawy pomnika, prof. Zacharjewicz mieszkając we Lwowie, nie mógł mieć dostatecznego wpływu, pp. Potocki i Jaworski, nie uważali się za znawców, a więc prawdopobnie trzymali się na uboczu. Za znawcę natomiast, i to znawcę pierwszorzędnego uważał się śp. Przeździecki. Był on gotów w każdej chwili zabierać głos w rzeczach sztuki, zdawało mu się bowiem, że ma ku temu dostateczne kwalifikacye. Dużo podróżował, dużo widział, miał własny zbiorek artystyczny, a zwłaszcza ogromną ilość fotografij dzieł sztuki. Oprócz pewności siebie posiadał sporo wolnego czasu, bo siedział w Krakowie dla przyjemności, nie mając żadnych obowiązków. Był zadowolony, że znalazł sobie cel w życiu i (trzeba mu to przyznać) z całą gorliwością wziął się do sprawy pomnika. Pomagała mu też opinia mecenasa sztuki, opinia, nawiasem mówiąc, zupełnie niezasłużona. Z natury więc rzeczy stał się duszą komitetu, dyktatorem dyktatorów. Wszystko, co się stało w następnych kilku latach, było jego dziełem niezaprzeczonem...

A więc naprzód ze zdziwieniem dowiedział się ogół, że wszystkie trzy nagrodzone projekty zostały odsunięte, że sąd konkursowy dla pięciu dyktatorów był tylko komedyą, czczą zabawką. Nie uznano nawet za stosowne wytłomaczyć, co było powodem tej niełaski dla nagrodzonych projektów. Usprawiedliwiano poufnie tylko odrzucenie projektu Godebskiego na tej zasadzie, że koszta wykonania pomnika według jego modelu wynosiłyby trzy, a nawet cztery razy więcej aniżeli fundusz zostający do rozporządzenia komitetu. Wobec tego Godebski oświadczył listem ogłoszonym publicznie, że gotów wykonać pomnik i za sto tysięcy złr., ale komitet nie przyjął tej propozycyi, podobno z powodu, iż artysta chciał zmniejszyć podane przez siebie rozmiary pomnika i „pozbawić go wszystkich swych stron wspaniałych“ [1]). Niema podstawy temu nie wierzyć, lub trudno się pogodzić z myślą, żeby Godebski aż wszystkie „wspaniałe strony“ swego projektu odrzucił.

[1]) Słowa wyjęte z notaty sekretarza komitetu, umieszczonej w „Czasie“ z 26. czerwca 1898. W notacie tej obliczono koszta postawienia pomnika według nagrodzonego projektu Godebskiego na pół miliona.

A jeżeli tak było rzeczywiście, to cóż łatwiejszego było komitetowi, jak podać szczegółowo do wiadomości publicznej propozycyę artysty. Tym sposobem zamknęłoby się raz na zawsze usta niewiernym.

Przyjmijmy jednak za fakt, że odznaczony pierwszą nagrodą projekt Godebskiego nie mógł być wykonanym. W takim razie wysuwał się na pierwszy plan „Maryar“ Rygiera. Ze wszystkich sześciu projektów tego artysty, jakie ubiegały się na konkursach, ten najwięcej podobał się ogółowi i sprawozdawcom.

To mało: „Maryar“ był tym modelem, który konkurował o pierwszą nagrodę z projektem Godebskiego i upadł tylko dwoma głosami mniejszości (8 przeciw 10), a sprawozdanie urzędowe sądu konkursowego przekonywa nas, że upadek ten był jego moralnem zwycięstwem. Oto nieco szczegółów z dyskusyi:

Pomijam zdanie radcy miejskiego śp. Wentzla, bo jego zachwyt nad „Maryarem“ mógłby ktoś tłomaczyć brakiem kompetencyi, ale zaraz po nim Asnyk, choć zwolennik Godebskiego, siedzące postacie „Maryara“ uznawał „w całej swej architektonice rzeczą znakomitą i artystyczną“. Architekt p. Dziekoński nazywał projekt Godebskiego więcej „architektonicznym“, a „Maryara“ „rzeczą bardzo po rzeźbiarsku pojętą, odznaczającą się jako całość swoją prostotą, kompozycyą skromną i bardzo zwięzłą“. Rzeźbiarz Pruszyński uważał „Maryara“ za projekt „stosowniejszy“, niż model Godebskiego. Hr. Engeström „uchylał czapkę“ przed Godebskim, ale za możliwy projekt uważał tylko „Maryara“. Prof. Łepkowskiemu „Maryar“ wydał się „najodpowiedniejszym“ i oświadczył, że będzie za nim głosował. „Ponieważ „Maryar“ jest piękny i odpowiedni pod każdym względem — mówił p. Michałowski — więc za nim głosuję“. Architekt Pryliński uważał „Maryara„ „za rzecz w jednej chwili stworzoną, że tak powiem z jednej sztuki odlaną“, a w projekcie Godebskiego widział „braki architektoniczne i niemożliwość do wykonania“. Posłuchajmy wreszcie co mówił drugi rzeźbiarz Gujski: „Głosuję za „Maryarem“ dlatego, że ma dwie zalety: 1. że on jest zupełnie wykonalny z tych materyałów, które nam są dane i bardzo do możebności wykonania w naszym kraju zastosowane; a 2. że pomnik ten jest nadzwyczaj *compact*, razem jak zbity, jakby z jednego bloku stworzony, jedną myślą i jednem natchnieniem wykuty... Zawsze dążyłem do tego w kompozycyi, żeby rzecz była do wykonania, a gdy tymczasem w Nr. XI (Godebskiego) znajduję, że nie można go wykonać dlatego, że zanadto małe są figury i ornamenta w stosunku do gromadności architektury, po drugie, że nie jest wykonalny w granicie, bo granit będąc twardym, nie da się tak obrobić, bo wszystko trzebaby bronzami zastąpić, tak że chyba cały blok zastąpiłoby się granitem. Co do tamtego („Maryara“), znajduję kompozycyę wyborną, a w tym (XI) znajduję że jest rozstrzeloną, jak nazywają Włosi *spartoliata...*“

Widzimy więc jasno, że połowa sędziów konkursowych przemawiała za „Maryarem“. Trzeba zresztą wziąć pod uwagę nie tylko ilość ale i jakość tych sędziów. Za „Maryarem“ głosowali obaj najkompetentniejsi członkowie sądu: rzeźbiarze Gujski i Pruszyński. Przemawiało za nim dwóch architektów: Dziekoński i Pryliński. Architekt Stryjeński, przypuszczając, że będzie równość głosów, proponował nawet, aby ewentualnie pierwszą nagrodę podzielić między dwóch rzeźbiarzy. Architekt Niedzielski, choć był za projektem Godebskiego, wyraźnie zaznaczał, że należy go przerobić. A któż przemawiał najsilniej za modelem Godebskiego? Oto pp.: Pawlikowski, Cieszkowski, Bełza, Asnyk, Wołodkowicz, Sierakowski, — sami laicy. Głosował za nim także p. Wrotnowski, ale tylko warunkowo „jeżeli artysta tak pomnik przerobi, aby postać Mickiewicza była dominującą jak tego wymagały wyraźnie warunki konkursu“. Ze wszystkich wreszcie przemówień zwolenników projektu Godebskiego, wychodzi na jaw, że imponowała im wspaniałość pomnika, ta wspaniałość, która dałaby się osiągnąć w wykonaniu za sumę kilkakrotnie większą od oznaczonego w konkursie kosztorysu. A chyba nikt nie wątpi, że tak Rygier jak i inni rzeźbiarze zdobyliby się również na wspaniałość, gdyby robili projekt obliczony na pół miliona, a nie na sto tysięcy.

Nie od rzeczy wreszcie będzie dodać, że sąd konkursowy pogwałcił przy głosowaniu przyjętą w podobnych razach na całym świecie zasadę absolutnej większości głosów. Na dwudziestu głosujących projekt Godebskiego otrzymał tylko 10 głosów, „Maryar“ 8, a drugi projekt Rygiera „Szósty“ dwa głosy. Należało więc przystąpić do ściślejszego głosowania między dwoma tylko projektami, z czego wyniknęłaby równość głosów (po 10) gdyż obaj zwolennicy modelu „Szósty“, jako przeciwnicy projektu Godebskiego, oddaliby głosy „Maryarowi“. W takim razie należałoby rozdzielić pierwszą nagrodę, lub też losem zdecydować kto ma ją otrzymać: Rygier czy Godebski.

Wszystko to dowodzi tego, co wyżej zaznaczyłem, że moralne zwycięstwo było po stronie „Maryara“ i że projekt Godebskiego utrzymał się wskutek nielegalnego głosowania, i to przeważnie głosami laików, którzy równie jak Godebski nie liczyli się z warunkami konkursu, a więc lubo nie ze złej woli, ale dopuścili się bądź co bądź bezprawia.

Jeżeli więc komitet pięciu mógł znaleźć usprawiedliwienie, odrzucając projekt Godebskiego, to nie miał ani cienia słuszności, odrzucając „Maryara“. Zamiast niego przyjął drugi projekt Rygiera, ten właśnie, który na dwudziestu sędziów konkursowych znalazł tylko dwóch zwolenników.

Nie trudno wytłomaczyć, dlaczego się tak stało. Ś. p. Przeździecki zakochany był w projektach p. Dykasa; — twierdził, że w tym młodym artyście przybywa rzeźbie polskiej gwiazda pierwszorzędnej wielkości. Wiemy dziś dobrze, że nie był niestety prorokiem, bo upłynęło od pierwszych konkursów już lat 15-cie, a nie ziściły się przywiązane do p. Dykasa nadzieje. Ś. p. Przeździecki jednak w niego wierzył, nic przeto dziwnego, że najwięcej mógł mu się podobać projekt zbliżony do projektów p. Dykasa. A takim właśnie był „Szósty“ Rygiera. Na skromnym piedestale stał Mickiewicz, po bokach siedziały cztery figury — słowo w słowo tak samo jak na projekcie Dykasa, nagrodzonym na drugim konkursie. Zapewne w wykonaniu figur znajdowały się różnice, ale sylweta była ta sama, myśl ta sama. Zdjąwszy z piedestału Mickiewicza można było tak na projekcie p. Dykasa, jak na Rygiera modelu „Szósty,“ postawić kogokolwiekbądź: innego poetę, lub artystę, uczonego, męża stanu, — nazwałoby się tylko inaczej figury poboczne i rzecz gotowa. Wreszcie „naród“ i „patryotyzm“ mogą się znajdować na każdym pomniku, a „poezyę“ np. śmiało można nazwać sztuką, historyą, filozofią i t. p. I to właśnie imponowało ś. p. Przeździeckiemu (a nietylko Przeździeckiemu), że pomnik nic nie mówił, nie drażnił niczyjej lojalności, że był pomnikiem... dla wszystkich. Możnaby na nim postawić nawet Bismarka i pomnik wcale dobrze wyglądałby w Berlinie. Komitet pięciu taką bezbarwność, taki brak znamion szczegółowych nazywał oficyalnie „prostotą“ i dla tej prostoty pominięty został „Maryar,“ który według słów samego p. Rygiera, wypowiedzianych do mnie, był jego najlepszym, najwięcej przez niego ulubionym projektem.

Komitet polecił p. Rygierowi wykonać według modelu „Szósty“ projekt naturalnej wielkości. Ugoda zawartą została 29. czerwca 1888 r. Podczas pracy nad projektem śp. Przeździecki z paru dobranymi „znawcami“ zmuszał artystę do ciągłych drobnych przeróbek. Szczególną pieczołowitością otoczono samą postać Mickiewicza. W zasadzie nic w tem nie było złego, owszem można było chwalić chęć uzyskania najpiękniejszej o ile możności postaci poety. Ale nie wystarcza chcieć, potrzeba umieć, — a prawdopodobnie p. Rygier lepiej się znał na tem, aniżeli jego doradcy. Słuszną uwagę może przyjąć i największy artysta, ale ciągłe wtrącania się ludzi niekompetentnych prędzej rzecz popsują niż naprawią, tu zaś tych wtrącań było tak wiele, że może nie minę się z prawdą, jeżeli przypuszczę, iż wszystkie ujemne strony pierwszej monstrualnej figury Mickiewicza, którą trzeba było drugą zastąpić, pochodziły z inicyatywy niepowołanych opiekunów.

Wreszcie projekt przyjęto i zawarto ugodę z p. Rygierem co do wykonania pomnika za ogólną sumę stu tysięcy złr., w której to sumie pomieszczone było już wszystko: materyał, odlewy i honorarium rzeźbiarza. Kontrakt został spisany dnia 20. listopada 1889 roku. O szczegółach tego kontraktu pomówię nieco niżej.

Tymczasem wzięto się na nowo do szukania miejsca pod pomnik.

Przed kilku laty (zdaje się w roku 1893) zmarł w Samborskiem Antoni Sozański, wydawca dość licznych materyałów historycznych i autor dziełek i broszur najczęściej dziwacznej treści. Był to ciekawy w swoim rodzaju oryginał, o którym anegdoty krążyły po całej Galicyi. Miał zawsze pełno zabawnych projektów, które publikował zazwyczaj w ogłoszeniach dzienników, gdyż żadna redakcya w tekscie umieszczać ich nie chciała. Tak np. proponował, aby przenieść papieża z Rzymu do Konstantynopola. Otóż w roku 1883, kiedy trwała w najlepsze walka o miejsce pod pomnik, Sozański w ogłoszeniach istniejącej wówczas *Gazety Krakowskiej* radził, aby wyciosać tymczasowo z drzewa pomnik naturalnej wielkości, ustawić go na kółkach i obwozić kolejno po wszystkich placach krakowskich dla przekonania się, gdzie mu będzie najwięcej do twarzy. Śmiano się serdecznie z konceptu Sozańskiego, a fejletonista *Przeglądu literacko-artystycznego* udzielił projektodawcy tytułu i charakteru „komika narodowego", prosząc, ażeby w celu zmniejszenia kosztów, sam stanął na drewnianym piedestale i pozwolił obwozić się po mieście.

Ale *les beaux esprits se rencontrent*. Ktoby przypuszczał, że projekt Sozańskiego znajdzie z czasem wykonawców. Zapomniano już o nim zupełnie, kiedy pewnego pięknego poranku w r. 1889 czy 1890 ukazał się na ulicach Krakowa drewniany pomnik Mickiewicza obwożony po placach. *Gaudium* było wielkie, a jeszcze większe, kiedy się dowiedziano, że autorem tego wiekopomnego pomysłu był komitet pięciu.

Drewniany pomnik przekonał ś. p. Przeździeckiego o konieczności postawienia pomnika Mickiewiczowi na wylocie ulicy Sławkowskiej. Miało się obciąć nieco plantacye i utworzyć nowy plac pomiędzy ulicami Sławkowską i Długą.

Ten nowy projekt spotkał się z gwałtownym protestem ze strony opinii. Zabrał głos nawet Henryk Sienkiewicz.

„Mickiewicz — oświadczył lapidarnie znakomity powieściopisarz — jest nietylko jednym z największych ludzi, jakich kraj nasz wydał, lecz zarazem najbardziej przez ogół ukochany. Dlatego, w wyborze miejsca na jego pomnik, nie mogą być brane w rachubę jedynie względy akademickie. Postawienie pomnika nie w rynku krakowskim, ale na uboczu, byłoby dowodem zupełnego lekceważenia woli ogółu" [1]).

Korzystam z poważnego głosu Sienkiewicza, ażeby odeprzeć tendencyjne fałsze do dziś dnia jeszcze szerzone o sprawie miejsca pod pomnik. Pozostała mała garstka niezadowolonych z postawienia pomnika na rynku, nie może się uspokoić nawet post factum i dowodzi, że to nieszczęście stało się tylko dzięki bezimiennej opinii, która gwałciła tradycye rzeźbiarstwa i wymagania estetyki. Ona, ta niegodziwa opinia, „zmusiła pierwszy komitet do złożenia mandatu", a „drugi komitet od początku swego istnienia miał już m a n d a t i m p e r a t i f stawiania pomnika na rynku". Gdyby nie to, „Mickiewicz stałby wśród zielonych plantacyj jak Cavour w Medyolanie lub Beethoven w Wiedniu" [1]).

Kto czyta uważnie moją historyę pomnika, ten już wie, że nieprawdą jest, jakoby komitet pierwszy złożył mandat z powodu rynku, ponieważ ten pierwszy komitet kilkakrotnie uchwalał i to nieodwołalnie, że pomnik ma stać na rynku. Również nieprawdą jest, jakoby komitet drugi (ów komitet pięciu) miał pod tym względem m a n d a t i m p e r a t i f. Przytoczyłem dosłownie uchwały, do nich więc czytelnika odsyłam.

Ale kto to był ową bezimienną opinią", przemawiającą za rynkiem? Była nią naprzód większość komitetu. A w tej większości znajdowali się tacy, jak Zyblikiewicz, Majer, Małecki, dr. Jordan, Asnyk, Matejko — że już pominę inne nazwiska, mniej lub więcej głośne. Sprowadzony z Paryża Guillaume wyraźnie oświadczył, że pomnik stać może na rynku. Za rynkiem przemawiało jednogłośnie „Koło literacko-artystyczne", składające się ze samych literatów i artystów z Kossakiem na czele. Delegaci warszawscy, a w ich liczbie początkowo nawet ś. p. Przeździecki, głosowali w pełnym komitecie za rynkiem. Pomijam już, że tego zdania była cała młodzież i olbrzymia większość dziennikarstwa. Widzimy wreszcie, że był za rynkiem Sienkiewicz. A kto był przeciw? Oto *Czas, Słowo* i co najwyżej kilkanaście osobistości niezbyt wybitnych, a należących do jednego stronnictwa, choć i w tem stronnictwie, jak widzimy z przytoczonych nazwisk, zdania były podzielone. Na czele tej garstki stał z początku radca miejski Rzewuski, fotograf, a więc znawca sztuki, a później ś. p. Przeździecki, znawca tego samego gatunku.

Ale panowie niezadowoleni dowodzą jeszcze, jakoby opinia ludzi kompetentnych była przeciwną rynkowi i oświadczyła się za pomnikiem na tle plantacyj. Upraszam pokornie o nazwiska tych kompetentnych, bo ich nie znajduję całkiem w materyale, na podstawie którego opowiadam dzieje pomnika. Gołosłowne twierdzenia nic nie znaczą — w takich sprawach należy walczyć faktami. A fakta są. Znajdują się one w sprawozdaniach drukowanych i wydawanych przez komitet. Raz tylko w tych sprawozdaniach spotykamy się z opiniami umotywowanemi w sprawie miejsca pod pomnik, z dokładnem zanotowaniem toku dyskusyi prowadzonej w tej sprawie przez powołanych znawców, bo przez sąd konkursowy. 16-go stycznia 1888 r. p. Wrotnowski, jako przewodniczący, zapytał „czyby nie dać komitetowi

[1]) Mickiewicz na Wawelu, album wydane przez K. Bartoszewicza. Kraków 1890.

[1]) Artykuł p. T. Smarzewskiego w *Kraju* (Nr. 34 z r. 1898) p. t. „Stronnictwa i Naród".

wskazówek, gdzie pomnik ma stanąć?" P. Wrotnowski był przeciw rynkowi, ale popierał go tylko prof. Łepkowski. Za rynkiem się oświadczali i bronili go: Pawlikowski, Cieszkowski, Bełza, Romer, Wołodkowicz, Engeström. Cieszkowski powoływał się na Zyblikiewicza, Bełza na historyczne znaczenie rynku, Pawlikowski na tylokrotne uchwały. Ale ci wszyscy znawcy, to może nie wielcy znawcy — oni przemawiali ze względu na znaczenie pomnika, lecz nie ze stanowiska artystycznego, estetycznego. Byli jednak i prawdziwi znawcy. „Jeżeli pomnik ma być z bronzu i granitu, to go żadnym sposobem na tle drzew zielonych stawiać nie można" — powiedział rzeźbiarz Gujski. — „Ja kładę nacisk na to, że bezwarunkowo pomnik ten nie może stać na tle drzew" — powiedział architekt Dziekoński. — Architekt Stryjeński „nie widział żadnego miejsca pod pomnik Mickiewicza, prócz rynku". Z pięciu zatem najkompetentniejszych w komitecie, trzech: Gujski, Stryjeński i Dziekoński oświadczyli się, ze względów estetycznych, za rynkiem. Pozostali dwaj kompetentni: pp. Pruszyński rzeźbiarz i Niedzielski architekt, zdania swego nie objawili, a więc przypuszczać można, że zgadzali się ze swymi kolegami zawodowymi. W głosowaniu rynek przeszedł prawie jednomyślnie.

Oto jak w świetle prawdy wyglądają rozsiewane jeszcze dziś, nieświadomie czy tendencyjnie, fałsze o przebiegu sprawy wyboru miejsca pod pomnik Mickiewicza.

(Dok. nast.). *K. Bartoszewicz.*



JEDEN Z WIELKICH

(wyjątek z powieści Józefa Maskoffa p. t. „Zaszumi las", drukującej się w *Słowie Polskiem*).

.....Leon ubierał się powoli.

Obliczył stan kasy i widząc, że podróż (do Paryża) i pierwsze dni pobytu kosztowały go dużo, postanowił poszukać zajęcia.

Sięgnął do kieszeni i znalazł tam trzy listy, polecające go rodakom zamieszkałym w Paryżu. Wystarał się o nie Jaś i wręczył mu je z wielką uroczystością.

— Patrz! — mówił — to do P.

Nazwisko to mówiło samo za siebie.

Wielki pisarz, człowiek wielkich stosunków i wielki bogacz.

Nie szło tu o pomoc pieniężną, lecz o znalezienie zarobku. Dwa inne listy były mniejszej wagi.

Postanowił od razu zacząć od „wielkich" i pójść do P.

Zobaczę go — będę z nim mówił. Co on mi powie, czy potrafię go zainteresować? Gdybym się zdobył na odwagę i powiedział mu, że jego dzieła umiem na pamięć, że „Pamiętnik" czytaliśmy w klasach po sto razy, że go kochaliśmy za jego „Rycerzy". Tak myślał Leon, ubierając się wyjątkowo starannie.

— Będę go widział! — powtarzał sobie.

Gdy w godzinę później wchodził do wielkiej i wspaniałej kamienicy, zamieszkiwanej przez znakomitego pisarza, serce biło mu gwałtownie. Jaka szkoda, myślał, że idę tu z prośbą o protekcyę — jaka szkoda — wolałbym pójść tylko prosto — ze złożeniem hołdu.

Zadzwonił u drzwi, udrapowanych zewnątrz wschodnią portyerą.

To mu zaimponowało. Pierwszy raz w życiu widział podobną dekoracyę.

Za drzwiami dało się słyszeć szczekanie, potem szmer sukni, aż wreszcie drzwi uchyliły się powoli.

— *Qui est la?* — zapytał głos kobiecy.

— *Moi!* — odparł zmieszany Leon.

— *Que desirez vous?* — brzmiała dalej indagacya.

— *Voir Monsieur P.*

— *Qui êtes vous?*

Leon zawahał się, czy ma wyjawić swe nazwisko, naturalnie nieznane wielkiemu pisarzowi.

— *Je suis... un Polonais!* — odparł po chwili.

Nastąpiła pauza.

Za drzwiami zaszeleściły jedwabie i drzwi uchyliły uchyliły się, ale — niegościnnie.

— *Entrez!* — wyrzekła kobieta.

Leon wszedł do przedpokoju i odrazu otoczyły go ciemności. Tylko w oddali jaśniały drzwi otwarte i w nich czerniała sylwetka oddalającej się w głąb apartamentów tłustej i wysokiego wzrostu damy, ubranej strojnie, szeroko i dostatnio.

Dama zniknęła i Leon stojąc na środku przedpokoju z czapką w ręku, zaczął powoli przyzwyczajać się do panujących ciemności i rozróżniać wśród nich niektóre przedmioty. Uderzył go przepych, do którego nie był w kraju przyzwyczajony. Ciężkie portyery wisiały dokoła ścian. Olbrzymie lustro wysuwało się z całego klombu kwiatów. U stropu wisiała delikatnej roboty wenecka latarnia.

Tak sobie wyobrażał mniej więcej mieszkanie potentata literatury, biedny chłopak przybyły z nad Wisły.

— Powiem mu wszystko! wszystko... wyspowiadam się, jak przed ojcem — myślał, gryząc bezwiednie baranek czapki — on mnie zrozumie!

Lecz czekał długo tak na środku przedpokoju tuż pod lampą wenecką i naprzeciw klombu z kwiatami. Z wewnątrz apartamentu dolatywały go szmery, głosy, kroki, lecz o nim zapomniano widocznie.

Nagle z bocznych drzwi wysunęła się pokojówka odziana czarno w czepku i fartuchu białym.

Podnosząc jedną ręką portyerę, wyrecytowała z silnym akcentem przedmieść paryskich:

Si vous êtes encore un émigré du Bresil — monsieur ne peut pas vous recevoir! [1])

— *Bresil?... non! non!* — zaprzeczył.

Sługa znikła i on pozostał sam wśród portyer, kwiatów i weneckich latarni.

Powiedzenie sługi zastanowiło go.

Więc „pan“ emigrantów brazylijskich widzieć u siebie nie chciał.

Musiał mieć ku temu ważne przyczyny.

Upłynęła znów długa chwila.

Sługa nie wracała. W sercu Leona jakiś chłód zaczął otaczać gorące porywy, które go do stóp znakomitego starca pędziły.

Nareszcie — pojawiła się służąca.

— *Entrez au salon!* — wyrzekła, wskazując Leonowi otwarte drzwi.

Leon wszedł i zaraz tuż koło progu usiadł na pierwszem lepszem krześle.

Salon był ogromny; cztery okna przysłonięte blado-zielonemi jedwabnemi storami, oświetlały go jasnem i delikatnem światłem.

Zastawiony był mnóstwem mebli, a wszystkie te meble były to niezmiernej ceny i wartości antyki. Leon nie znał się na starożytnościach, a jednak i on został olśniony tymi empire'ami o bronzach delikatnych jak koronka, temi Ludwikami XVI, inkrustowanymi medaljonami, temi bonheur du jour o tak eleganckich i wykwintnych formach, że zdały się być prosto przeniesione z Petit Trianon, a nawet i z Wersalu.

W głębi — olbrzymi bahut bretoński — wspaniała rzeźba zakrystyjna, na nim całe bogactwo bronzów i figurek z kości słoniowej.

Na ścianach cała kolekcya najcenniejszych płócien i zegar złocony Empire — olbrzymi orzeł, trzymający w dziobie draperyę.

Dokoła — zapach, właściwy pałacom i celom klasztornym.

Z poza otwartych drzwi — gabinet obity ciemnozielonym adamaszkiem, zasłany kobiercem.

Z miejsca, na którem siedział Leon, widać było pół szafy wysokiej — napełnionej książkami — a nad nią gobelin.

Co jednak rozjaśniało ten artystyczny i bogaty apartament, to tysiące drobiazgów wdzięcznych i miłych dla oka, porozrzucanych dokoła.

Nie były to ciężkie ordynarne roboty Niemki, lecz szykowne, artystyczne robótki Paryżanki.

Te podarki ozdobione falbanami, wałki pod głowę ze starych złoconych materyj, ramki pluszowe zdobne gniazdem kolibra, abażury wiązane wstążkami i powiewne, jak spodniczki tancerek, nie psuły harmonii stuletnich sprzętów salonu.

[1]) Jeżeli pan jesteś jeszcze jednym emigrantem brazylijskim, pan nie może pana przyjąć.

Przeciwnie — był to jakiś uśmiech, promień pogody — ślad ręki kobiecej, dbałej i troskliwej o upiększenie gniazda.

W sercu Leona ożyło znowu cieplejsze uczucie. Jakkolwiek bogato tu było i dostatnio — to przecież rodzaj domowej atmosfery rozgrzewał zziębnięte serce chłopca.

I jakkolwiek nic tu nie przypominało — kraju, ani jeden sprzęcik, ani jeden obraz — nic, coby dawało do poznania nie francuskie pochodzenie pana domu, jednakowoż był to już „dom“ — schronisko familijne, czego tułającemu się od tak dawna po norach i wagonach kolejowych Leonowi serdecznie brakowało.

Do gabinetu wszedł ktoś i Leon porwał się z miejsca.

I spojrzawszy w otwarte drzwi, dostrzegł, jak prosto ku niemu po ciemnym dywanie szedł wysoki starzec, trochę pochylony, z krótką siwą brodą.

Starzec wszedłszy do salonu zatrzymał się o kilka kroków przed Leonem.

Spojrzenie miał obojętne i jakby szklane. Oczy niewielkie, zielone, okolone czerwoną obwódką. Ręce trzymał założone w tył, odziany był w ciepłą, domową, szarą marynarkę.

— Pan... Polak? — zapytał, przymrużając oczy.

W jednej chwili Leonowi zbiegła krew do serca. Ten głos, to spojrzenie pouczyły go o wszystkiem.

— Tak, Polak! — wykrztusił wreszcie, widząc, iż P. czeka na odpowiedź.

— I czem ja panu mogę służyć? — zapytał wielki pisarz, stojąc ciągle z rękami w tył założonemi.

Leon wyjął z kieszeni list polecający i podał go P.

— Oto list!

— A... proszę poczekać.

P. poszedł do gabinetu i tam, włożywszy okulary, list odczytał. Poczem list złożył, przycisnął go wspaniałym psem bronzowym i powrócił do salonu.

— Wszystko to bardzo pięknie... — wyrzekł stojąc — ale tam u w a s, w kraju, wyobrażają sobie, że tutaj, we Francyi, my istniejemy po to tylko, aby rozdawać wam miejsca, synekury, stypendya, zapomogi... Ten poczciwy Skiba bardzo zdolny i czcigodny człowiek, ale on zupełnie warunków tutejszego bytu nie zna i nie rozumie!

Wzruszył ramionami i podszedł do jednej z poduszek, na której przekrzywiła się kokarda.

— Gdybym nawet chciał, mój młody panie, zrobić co dla pana, to ja nic nie mogę — mówił dalej, rozgładzając pukle wstążek — nie znam tu nikogo, ktoby mógł pana zatrudnić u siebie. Żyję odosobniony, wycofałem się już z interesów... a potem, widzi pan, ile razy kogo zarekomendowałem, to później nie mogłem tego odżałować... tak, tak, nie mogłem odżałować!...

Z początku Leon patrzył z niepomiernem zdziwieniem na postać owego „wielkiego“, który z tak usil-

nym egoizmem starał się zasłonić przed niesieniem pomocy bliźniemu. Graniem na giełdzie dorobił się znacznej fortuny, był sam jeden bez rodziny, bez dzieci, którym mógłby zostawić swe mienie, i nic, nic zrobić nie chciał, nic poświęcić, choćby chwilkę czasu dla wyszukania zajęcia rzuconemu na obcy bruk chłopcu.

I wie pan co, młody panie — ciągnął dalej P. ułożywszy wstążkę w kształtny węzeł — takich jak pan, to ja mam dziesięciu dziennie, daję słowo — dziesięciu! A co tych rozmaitych z Brazylii tu nachodzi... już konsierżce zakazałem wpuszczać!

Teraz zabrał się do oczyszczania pluszowego widposza i roztrzepywania wiszących u niego frendzli.

— Rotszyld-by nie wystarczył... — mruknął, jakby sam do siebie i ramionami wzruszył.

Twarz Leona pokryła się rumieńcem. Ten „wielki“ traktował go, jak żebraka.

— Zdaje mi się, — wyrzekł — że zaszło tu małe nieporozumienie, szanowny pan sądzi, że ja tu przychodzę po jakiś datek, po jałmużnę? Jestem za młody, za silny i za chętny do pracy, aby tworzyć sobie w podobny sposób źródło dochodu. Szanowny pan mnie nie zrozumiał!

Mówiąc te słowa, postanowił sobie Leon nie prosić o nic P. — i zarazem z tem postanowieniem wstąpiła w niego energia, poparta rozgoryczeniem i dziwnym rodzajem ironii, z jaką zaczął się na swą bytność w tym salonie zapatrywać.

— Ja przyszedłem do pana — zaczął znowu Leon, a głos jego nabrał teraz pewnych ostrzejszych tonów — jako do naszej narodowej sławy i do człowieka serca... Chciałem prosić nie o pieniądze, ale o pracę!...

— Ja panu, panie młody, nic w tym względzie dopomódz nie mogę... — przerwał P., stawiając widposz i zbliżając się ku Leonowi.

Widocznie „sława narodu“ pogłaskała dumę starego egoisty, a zapewnienie Leona, iż nie sięga do jego kieszeni, wzbudziło w nim pewne ku chłopcu zaufanie.

— Ja słyszałem, że pan nic dla mnie nie może i dlatego nie myślę zabierać panu więcej drogiego czasu.

— Pan, panie młody, jesteś jakaś gorączka — zawołał P. — jakieś tam dziesięć, dwadzieścia franków możeby się i znalazło...

— Proszę mnie nie obrażać! — przerwał mu Leon — ja tu przyszedłem nie po franki, ale po to, aby pokrzepić duszę — pana widokiem.

„Ja o panu marzyłem jeszcze dzieckiem i idąc tu, tak pragnąłem pana zobaczyć. Ja czytałem pana „Rycerzy“, ja dostawałem kawałkami, wycinkami pana „Pamiętniki“, które wychodziły w Krakowie... myśmy je po nocach z kolegami czytali... cała klasa czytała“...

Stary słuchał, przekręciwszy głowę na bok i usta zacisnąwszy, wpatrywał się w Leona.

— A no!... To proszę panie młody do gabinetu... — wyrzekł wreszcie, szerokim giestem ukazując drzwi — porozmawiamy sobie trochę: widzę, że z pana porządny młody człowiek...

„Dla niego — każdy porządny, kto go o nic nie prosi“ — pomyślał z goryczą Leon.

— Nie! — odparł — dziękuję panu za zaproszenie. Nie mam czasu. Muszę sobie szukać pracy.

— No, to zaczekaj chociaż!... Dam ci poprawną edycyę moich „Rycerzy“!

I P. poszedł do gabinetu, gdzie zaczął przewracać na biurku, a równocześnie mówił bardzo głośno, starając się, aby Leon go słyszał:

— Bo czego wy tu przyjeżdżacie? Czego wy nie siedzicie w kraju? Co wy tu myślicie, że znajdziecie? Sądzicie, że tu pieniądze na bruku rosną i każdy się majątku dorobi?...

Leona zaczęło teraz ogarniać dziwne uczucie. Było to rozgoryczenie, lecz pomięszane z taką dozą nerwowej ironii, że mimowoli usta mu się układały do śmiechu i czuł, że łaskotanie wykrzywia mu muskuły twarzy.

Powstrzymał się całą siłą woli, podczas gdy w umyśle jego przesuwały się ciągle następujące myśli.

I to tu? w tym salonie chciałeś powiedzieć wszystko, chciałeś się wyspowiadać jak przed ojcem, chciałeś roztoczyć swoje ideały, pragnienia, chęci — chciałeś prosić o radę, o wskazanie kierunku! chciałeś opowiedzieć o przeszłych już cierpieniach, o swej ucieczce z kraju!...

I przed kim? Przed tym bogaczem, który zarobione na spekulacyach giełdowych pieniądze przejada najspokojniej i traktując cię jak żebraka, więcej się troszczy o stan swych cacek salonowych, niż o stan twego umysłu, twej duszy i twojej kieszeni.

Dopiero gdy dowiedział się o twem uwielbieniu dla niego, jako dla autora, wylazł jak ślimak ze skorupy i obdarza cię kilkoma tomami swych dzieł, których rozdawać nie ma komu, odciąwszy się od wspólnego życia i wspólnych interesów swych rodaków.

I rzeczywiście — z drzwi gabinetu wyszedł P. trzymając w rękach kilka grubych książek w zielonych okładkach.

— Ja tu nawet panu napisałem kilka słów! — wyrzekł z zadowoleniem. — Weź pan... to ładnie, żeś pan o mnie nie zapomniał i moje książki czytał. Tylko, po co pan z kraju wyjechałeś, najlepiej zrobisz, jeżeli jak najspieszniej powrócisz!...

— Nie mogę wrócić do kraju! — wyrzekł Leon, biorąc książki i nakrywając je czapką.

— Dlaczego, dlaczego? Co wy tam w tym kraju znów teraz robicie? — Siedźcie cicho!

— My też siedzimy cicho... ale i pan przecież w swej młodości zajmowałeś się tem, czem ja, czem my młodzi i siedziałeś długi czas w więzieniu. Przynajmniej tak pisałeś w swych pamiętnikach...

Starzec potrząsł głową.

— Tak, tak!... — wyrzekł — ale to były inne czasy... a potem my byliśmy inni ludzie! Dziś — wy to czynicie więcej z dumy i dla przechwałek, aby potem szeroko rozpowiadać o swem poświęceniu i rozpisywać się o doznanych męczeństwach!...

Leon chwilę wpatrzył się w zielone oczy P. i został zdumiony, ile tam dobrodusznego fałszu mieściło się na dnie tych źrenic.

— Nie, panie! — wyrzekł, kłaniając się i dławiąc się od nerwowego śmiechu — my nie pisujemy... pamiętników, my co najwyżej wydrapujemy paznogciami nasze nazwiska na ścianie naszej celi i to zaraz zasmarować wapnem każą! Żegnam pana!...

P. za nim kilka kroków postąpił.

— Zajrzyj pan tu do mnie, młody panie! — wyrzekł uprzejmie — pogadamy jeszcze o tem i o owem!

— Panie łaskawy! — odparł Leon już w przedpokoju — przepraszam, ale prawdopodobnie już więcej u pana nie będę... Muszę się czemś zająć! Ja niestety nie wycofałem się z interesów!

Wydostawszy się na schody, Leon wybuchnął nerwowym śmiechem.

Śmiech ten wzmógł się jeszcze, gdy na okładce książki chłopak przeczytał następującą dedykacyę:

„Młodemu człowiekowi na drogę życia

Autor“.

— Niekosztowna pomoc! — śmiał się Leon — a jaka ojcowska, jaka patryarchalna.

Gdy zeszedł na ulicę i zastanowił się nad swą bytnością u X., przestał śmiać się i ogarnęło go znów rozgoryczenie.

— Wielki — myślał — wielki... a jaki z bliska... nie, jaki mały!

Do uczucia rozgoryczenia przyłączyła się jednak pewna duma i zadowolenie ze siebie samego.

— Nie wiedziałem, że i ja mówić potrafię... — myślał Leon — wcale mu dobrze powiedziałem o pamiętnikach.

Mijał właśnie mieszkanie odźwiernej, która siedziała w głębi naprzeciw wspaniałej, lustrzanej szafy i dawała jeść papudze.

— Po co ja wziąłem te książki? — to nie ma sensu.

Wszedł do loży odźwiernej i położył książki na stole.

— *Pour monsieur P.* — wyrzekł i wyszedł szybko, podczas gdy papuga zaczęła krzyczeć w niebogłosy:

— *Qui est la? qui est la?*



Korespondencya J. I. Kraszewskiego,

przez K. Bartoszewicza.

(C. d.).

List z 16 lutego 1859 r.: „Kontynuacya przekładu mego Platona strasznie oporem idzie. Xięgarz Merzbach w Poznaniu, któremu komisownią sprzedaży wytłómaczonego pierwszego Tomu powierzyłem, jakąś mistyczną chimerą się ogrodził, z jednej strony straszy, iż dzieło nie ma pokupu, a z drugiej znowu ofiaruje się na nakładcę dalszego ciągu. Przecież, gdy natrę, aby zdał rachunek z sprzedaży, ciągle czemś się wywija i wymawia, jak dotąd nie wiem, ile exemplarzy się rozeszło, gdy nawinę, aby drugi tom drukować raczył, ani odmawia ani do rzeczy się bierze! Poznajomiwszy się trochę z pajęczemi sieciami księgarstwa u nas solidarnie związanego, bylem się nie naraził stanowczem wystąpieniem, nieznośne położenie znosić przymuszon jestem. Tymczasem ze strony Mecenasów naszych żadnej pomocy wykołatać, od uczonych tutejszych choć kilka słów recenzyi wyżebrać nie mogę. *Przegląd* nawet nie wspomniał o wyjściu dzieła. Może urażony o kilka dopisków przedmowy, które sam wywołał niewczesnemi uwagami nad przedmową, którą na czele Ekonomiku Xenofontowego umieściłem. Byłbym ich nie zrobił, gdybym nie miał recenzentów, pod pozorem stylu właściwie rzecz w nich zawartą zdyskredytować łatwowiernych pragnących. Zabrałem się obecnie do przekładu Odyssei wierszem miarowym, przy pomocy Bożej i zdrowiu posuwałbym się i z tą robotą szybko naprzód, gdyby w ogóle usiłowania moje jakiekolwiek znalazły uwzględnienie, zakrzepiając tem dość już i tak innemi przykrościami, znojami i troskami zwątlone siły pracownika. Gdybyż na razie z codziennego stanowiska przedsięwzięcia nie oceniać raczono! Gdy tak szczupła jest u nas liczba tych, co się zajmują i mogą po dziś dzień zajmować tłomaczeniami z Greckiego, a potrzeba tych tłómaczeń w tym niedostatku piśmiennictwa naszego w tej dziedzinie, rzekłbym paląca — pragnąłbym nieledwo wszystkie znamienitości helleńskie spośredniczyć rozumieniu ziomków. Zmuszony pędzić, nie kroczyć poważnie do kresu, czyż mogę zadowolić wszechstronnie? Próba Odyssei może się ukaże w Dodatku krakowskim, ciekawym, co JW. Pan Dobr. na nią powiesz? Siemieński troszeczkę, zdaje mi się, uprzedzony, gdy rzuca klątwę na wszelki wiersz miarowy bez rymu w naszej mowie, jako niby przeciwny naturze naszego języka poetycznego[1]). Zresztą jakkolwiekbądź, wystarczy mi, jeżeli

[1]) Zapewne tu mowa o artykule Siemieńskiego drukowanym w „Dodatku do *Czasu*“ z r. 1859 (tom XV). We wstępie do oceny „Juliusza Cezara“ Szekspira w przekładzie Pajgerta, S. wyrażał się ostro o „koszlawych“ wierszach miarowych (białych), „pozbawionych harmonii a zawiłych składnią i szykiem godnym najlichszej prozy“.

krytycy zadowolą się oddaniem tonu oryginału, o co mi głównie chodzi. Miałem właściwie wziąść się do Thucydidesa, po przełożeniu Herodota, zatem do Helleników Xenofonta, ażeby tak tę trójkę najznamienitszych Dziejopisów greckich zaokrąglić. Ale jakoś przyjaciele miejscowi wołali o Homera i sam też oddawna tęskniłem za tą pracą".

List z 20 lutego 1861 r.: „Thucydidesa przed tygodniem wyprawiłem do Żupańskiego, aby go razem z Herodotem, który także już przecież wydobył się z klauzury xięgarsko-drukarskiej, wysłał w drogę dalszą do przeznaczonego im miejsca. Herodot aplaudowany będzie, bo wystawienie rzeczy proste aż nadto; ale co o Thucydidesie to nie jestem bez obawy, a na nieszczęście zapomniałem w przeszłości dodać, że i wstęp kilkunasto-rozdziałowy należy do ustępów zawiłych w tym pisaniu. Lubo małoby to pomogło, gdyż jak widzę i sam i na swoich publikacyach, czytający czytają wprawdzie, ale zresztą mało dbają, co tam czytają!... Rzeczywiście zaś ten wstęp nieledwo więcej jeszcze epigramatyczny wyrażeniem od samych słynnych z skąpomowności mów τοῦ σκοτεινοῦ, jak go nazwali niektórzy scholiaści. A znowu ni chciałem ni mogłem go rozklepać, boby to już nie był język Thucydidesowy, jaki mowom ich stylistykę pozostawiłem. JW. Pan Dobr. znasz to z bezpośredniego źródła, jak ta odrębność stylu greckiego (mianowicie) nietylko na toku powolnym, nietylko na oszczędności w wyrazach, nietylko na zbyt ogółowem nieraz oznaczaniu myśli (np. te częste „to," „te," którym odpowiednich rzeczowników doszukiwać dopiero trzeba), ale i na misterności okresowania zasadza się. Raz wraz przechodzi zdanie w inną konstrukcyą, tu słowo „okoliczne," tam przez genitivi absoluti, tam imiesłowem absolutnem, a to takim, to owakim, a zawsze innym spójnikiem lub partykułą spojone, mniej treścią do naszej nader niebogatą na wszerz imponuje Hellenin, jak formą, na którą cały kunszt swój wysadza. Oznacza myśli po prostu, tem charakter prozy zachowując, ale nie zapomina i w prozie o potrzebach i żądaniach piękna, więc oraz te proste, najprostsze rzeczy oznaczenia wiąże w najsubtelniej architektoniczne peryody. Jakżeż oddać najgłówniejszy charakter mowy helleńskiej, nie zatrzymując jak najskrupulatniej tego jej piękna? Tymczasem ogarnianie takich okresów dla nieprzyzwyczajonego do nich nowoczesnego czytelnika trudne samo przez się, a kiedy i myśl zawiła nadto, aż nazbyt nużące. Co właśnie w owym wstępie i mowach niestety znachodzi się i ztąd trwożę się o nie. Lubo znowu samo opowiadanie bardzo przystępne, ale obyż nie rzucono książki, zanim się do niego dobierze! Jakkolwiek będzie, JWP. Dobr. Thucydides mój zajmie serdecznie, jestem tego pewien, bo to najlepsza moja robota. I to mi wystarczy. Dziękuję mu najczulej za przyjęcie odpowiedzi na krytyki p. Kozłowskiego [1]). Jest słabą, ale przecież coś replikuje, a głównie najohydniejsze, bo skłamane na czysto argumenta zbija dostatecznie. Nie mogę się jednak uspokoić dotąd nad tak niecnem postępowaniem. Niech krytykują co i jak chcą, niech krytykują najostrzej, ale niech to uczynią ze znajomością rzeczy a miłością prawdy. Chodziło tymczasem tylko o zdurzenie łatwowiernych i dobrodusznych, a obryzganie jadem zazdrości najniewinniejszego. Bo cóżem wykroczył przeciwko tym panom? Niefortunny atoli i z tego jestem względu, że nawet życzliwsi nie raczą książki gruntownie przynajmniej przeczytać wprzód, zanim coś o niej wypowiedzą. Doświadczyłem tego mianowicie na Platonie, inaczej niepodobno, żeby się ktoś przecież nie znalazł, coby na te paplania od ucha nie odciął paplarzom. Niechże wytkną wiernie te miejsca „w y r a z o w e," ciemne, forsowane i t. d., niechże wykażą, że niemi całe dzieło zapchane — kiedy i sami powtarzają, co Pan KWW. i F. K.[2]) naprawił *ex cathedra*. Ale przeświadczyliby się inaczej, gdyby sami do książki gruntownie zajrzeć raczyli. Rozumie się, nieco z filozofią obyci, bo nie dla kronikarzy, ni archeologów, ni dla pustych słów kramarzy pisał Plato, a moja małość tłómaczyła

„Tym zdolnym rzecz osądzić, tylko leniącym się do niej Panom, rzuciłem pod uwagę kęs nowych uwag, które ośmielam się dołączyć. Zanadto sprawa dla piśmiennictwa jest ważną, a JWPan Dobr. wylanym dla tegoż, aby mi potrzeba przepraszać Go za ponowione ambarasowanie Go, zkądinąd niemiłą kłótnią, czuję to aż za mocno. Raczysz więc JWPan Dobr. w wolniejszej chwili przepatrzyć te piśmidła i jeśli warto, jakiś użytek z nich uczynić, upraszam pokornie.

„Nareszcie życzliwość Jego tak serdeczna nietylko dla usilności ale i silącego się, o których wyczytuję z Gazety Codziennej przedwczoraj dopiero rąk moich całym kwartalnym stosem mię doszłej — taka to tutaj w tym względzie bieda! — nie już tylko wdzięcznością, bo tę oddawna w piersi noszę, ale wzruszeniem mełono przepełnia. Chciałbym znaczniejszy od najżywszego słowa dowód tego złożyć w ręce JWPana Dobr., więc śmiem Mu ofiarować, co, jakkolwiek dla świata nikczemne, dla mnie niewymowną zawiera wartość, jako pomniczek myśli i czuć najdroższych łzami pisanych. Dołączam w pokorze ale w rozrzewnieniu egzemplarz mego Mnemoniona w darze, nie dla Znakomitego Pisarza, ale dla Męża zacnego, który go oszacować potrafi właściwie. Przesełam tę książeczkę wprost, bo oddawna zyskała plant Cenzury Cesarstwa i Królestwa, a jakoś nie do twarzy takim biedotom świecić się po

---

[1]) Kozłowski Feliks Antoni, autor „Dziejów Mazowsza", wybitny filolog, ogłosił w r. 1845 przekład trzech rozmów Platona, z dodaniem na wstępie rozprawy o jego dziełach i filozofii. Gdzie pomieścił nieprzychylną krytykę Platona w tłomaczeniu Bronikowskiego, nie udało mi się odszukać.

[2]) Wójcicki i F. Kozłowski.

świecie... Najgłębsze serca drgnienia lecą bezpośrednio do serca zresztą“...

Biedny Bronikowski do końca życia nie mógł sobie dać rady z krytykami. Kochał swe przekłady jak ojciec własne dziecko, a tymczasem krytycy mówili mu, że to dziecko jest brzydkie i niezdarne. A na nieszczęście była po ich stronie znaczna doza słuszności, bo lubo Bronikowski był znakomitym filologiem, lubo nie można było nic zarzucić jego tłomaczeniom pod względem wierności, to przecież już ta sama wierność, doprowadzona do przesady, była jedną z wad tłomacza. W jego przekładach były tylko wyrazy polskie, a budowa okresów, tok logiczny, zwroty były greckie. Tekst często zawiły już w samym oryginale, jeszcze więcej stawał się niejasny w spolszczeniu. Bronikowski przytem używał często wyrażeń archaicznych, albo sam tworzył nowe wyrazy, nie znosząc obcych, zwłaszcza branych z języków żyjących. Zdawało mu się zapewne, że pisze polszczyzną Zygmuntowską, a tymczasem byłto jakiś dziwny język i dziwny styl, który sprawiał, że czytelnik z trudem mógł uchwycić tok myśli przełożonego autora. Zarzucano też Bronikowskiemu, że brak mu „wytworniejszej prostoty, delikatniejszej poprawności i większej dokładności filozoficznego języka[1]).

W korespondencyi znajdującej się w Bibliotece Jagiellońskiej niewiele już jest skarg Bronikowskiego na krytyków, ale spotykam je jeszcze dość często w listach jego łaskawie mi dostarczonych przez p. Bogusława Kraszewskiego, który, jak to już zaznaczyłem, posiada część korespondencyi swojego znakomitego stryja. „Lucyan Siemieński — pisze Bronikowski 3. lutego 1862 — jakąś znowu zawiłość widzi w stylu moim Herodota. P. Józefowi Łukaszewiczowi przeciwnie bardzo się przekład podoba — tak samo niejeden umiejący tu jeszcze dobrze po polsku twierdzi. Jakżeż to pogodzić z zdaniem Lucyana, który przecież piórem włada również biegle. Ja uprzedzenie pewne w nim upatruję. Wszędzie dopatruje własnego dość samorzutnego toku pióra, lecz raz po raz *à la* publicyści *Revue* do smaku zafryzowanej (?) publiczności, modelujący wszystko. Podstarzał się zresztą, a wyrobił nie na klasycznym lecz francuskim gruncie. Ale lękam się, żeby p. L. w *Czasie* nie odezwał się znowu, bo w też tropy odpowie mu echo *Biblioteki warszawskiej* i wrażenie na wstępie zaraz spaczone zostanie“. Mowa tu zapewne o Wójcickim, na którego kilkakrotnie żali się Bronikowski. Żal w tym wypadku był zresztą dość słuszny, Wójcicki bowiem nie miał pojęcia o starożytnych językach i wogóle zbyt mało posiadał danych do wydawania jakiegobądź sądu literackiego. — Ale oto znowu Cywiński, podając w *Bibliotece warszawskiej* przekład mowy Periklesa, dociął Bronikowskiemu. Napisał on na tę „dygresię“ odpowiedź, ale przesłał ją Kraszewskiemu nie do druku, lecz „pro informatione, jakich to środków chwyta się p. K. W. Wójcicki, żeby moje przekłady dyskredytować wśród ciemnej publiczności.“ Bronikowski zaręczał, iż ma dowody „pośredniczenia w tym interesie“. Z wielką boleścią pisze dalej: „oburzyła mnie sprawa do żywego i choć właśnie dogorywała mi 16-letnia córka, najśliczniejsze i z duszy i z ciała przymiotów dziecię, chwyciłem za pióro i parę słów w odpowiedzi spisałem. Tymczasem nadszedł Rok Nowy, w sam dzień jego o $4^{3}/_{4}$ z południa pożegnał mnie błogosławiąc mój anioł, zdając się polecać pojednanie ze wszystkimi. Wypełniam święcie jej rozkaz i przesełając wzmiankowany artykuł załączam tylko nowy dowód rzeczywiście uorganizowanej przeciw sobie niechęci, której w interesie sprawy, o którą chodzi, nie należałoby lekceważyć. Wszakże wszystko mi teraz zobojętniało.“

W kilka miesięcy później korespondent („nowiniarz“) poznański do *Gazety warszawskiej* znowu ukłuł Bronikowskiego z powodu przedmowy do III zeszytu Herodota. Przedmowę tę cofnął, a raczej skrócił Bronikowski przed wypuszczeniem zeszytu w obieg księgarski, wyrzucił z niej mianowicie humorystyczne zakończenie. Korespondent jednak pochwycił jeden z wycofanych egzemplarzy i żartował sobie z biednego Bronikowskiego. Ów koniec zaś przedmowy był to „żarcik ubrany w bajkę z młokosiej krytyki, a rażącej mazgajstwem — im dalej postąpisz w Beocią tu naszą — również nikogo osobiście dotknąć nie może, a szczypie sprawiedliwie swawolną zarozumiałość niedorostków krytycznych. Pomiędzy tymi są i zdolniejsi — w mojem przekonaniu — na surowsze skarcenie zasłużyli. Udają oni coś (a bezwiednie) tych lecz utalentowanych prawdziwie i uposażonych dostatnio do rzeczy recezentów *de la Revue des deux mondes* w gruncie wszystko naciągając do swoiej ulubionej przeszłości materyalizmu, nadobnie wymoderowanego Orleanistowskich rządów, cokolwiek wokoło się dzieje najświetniejszego wdzięcznemi drwiny splamią. Kiedy już nie obyć się naszym tironom bez modelu, to niechże przynajmniej wślepiają się w ten, który im wystawia *la Revue Contemporaine*... Ale cóż nam po jednych i drugich wzorach? Kiedyż nareszcie na własnych nogach stąpać poczniemy — tyle uzdolnieni, tylko wszędzie wygodni, leniwi po szczudła, po wonności (?), cudze sięgający wciąż jeszcze! Taką mam wiarę do naszych słowiańskich wielkich kwalifikacyi, że umrę z tem przekonaniem, iż bylebyśmy użyli silnej woli (na której nam zawsze zbywało), bylebyśmy zechcieli potężnie, odrzuciwszy wszystko obce na bok, zamknąć się w sobie i ze siebie samych (w najskrupu-

[1]) *Przegląd Poznański* XXX, 1860, str. 99. Bezimienny autor pisze o przekładzie Odyssei. Tu zaznaczam, że nietylko ujemna krytyka spotykała Bronikowskiego. Tak np. o tejże Odyssei nadzwyczaj pochlebnie odzywał się Cypryan Izdebski w *Bibliotece warszawskiej* (1860 Tom I, str. 163). Nie mówię już o Kraszewskim, który zawsze dodawał Bronikowskiemu otuchy w *Gazecie codziennej* (później *polskiej*).

latniejszej ścisłości wyrazu) ciągnąć nić żywota tak przedsobnego jak wsobnego to — odtworzymy sobą ludzkość Hellady, a w daleko majestatyczniejszym rozkładzie. Umiemy być głębokimi (rozum), nie zbywało nam nigdy na rozsądku, bystrości, wyobraźnią górujemy innych też uczucia donosnością, skupić nam to tylko wszystko trzeba, a naszym jest świat. Nie mogąc własnodzielnemi przykłady, bo geniusze Panom dał Bóg, usługą translatora przynajmniej pokazuję (wyrazy nieczytelne), w jaki to przykład wpatrywać należy się narodowi, aby cudotwórczą (jak dzieje po części u innych uczą) tegoż siłą natchnion uładowal się najprzód duchowo, a zatem dorównywujący tamtemu mocą tegoż ducha, rozwinął jak kwiat dorazu prześliczny, któremu postronni przypatrywać się zbiegną z najodleglejszych okolic. Woli do tego powtarzam, nic więcej potrzeba. Obudziwszy ją przy wrodzonej przenikliwości wraz poznałoby się brużdżące jasnemu o rzeczy objęciu dotąd zawady bundziucznej zarozumiałości wśród najgrubszej zależności od innych na wszystkie a wszystkie strony. Z ogniem woli, mniemam, rozbłysłaby w duchach nieodzowna pokora, znamionująca kroki do wielkiej prawdziwie przyszłości. Miasto retoryki, łoskotu słów, zaświeciłaby prostota, ukazałyby się może nawet i olbrzymy m y ś l i w skromniutkich ubiorach. Takiem obliczem przez czas wieków i narodów tumany wciąż patrzy do nas Hellada, drobniutka ale zawsze promienna Hellada. Lecz dosyć. Im dalej wnurzam się w tę zaiste arcyważną materyą, tem tylko boleśniej uczuwam brak choć cząsteczki tylko tej geniuszu władzy, którym Bóg J. W. Pana Dobr. uposażył, ażeby to, co czuję mocno, lecz przez mgłę tylko widzę, w heraklesowe ująć dłonie na widok ziomkom w całej prawdy wyczerpującej jasności."

Jednocześnie z owym korespondentem *Gazety warszawskiej* uszczypnął Bronikowskiego profesor Jerzykowski z Trzemeszna, pomimo, iż Bronikowski wspomniał o nim pochlebnie w przedmowie do przekładu Thucydidesa. Jerzykowski dał w programacie szkoły trzemeszeńskiej przekład wstępu do historyi Thucydidesa, poprzedziwszy ją „łacińskiem avant propos albo lepiej quid pro quo." „W tem zgartowisku — skarży się Bronikowski — wyłuskanych starannie z Torcelliniego wyrazów, powiada mi, oparłszy się na chryi Cywińskiego w *Bibliotece warszawskiej* między innemi, żem w noc wiekuistą niezrozumiałości zawinął wielkiego pisarza, który przecież tak jasny! jak oto zaraz świadczy jego przekład. Ten zaiste jest aż nadto jasny, nawet wyborny, ale podobno dla znających języka tylko tyle, ile go znają uczniowie pana profesora, on sam wreszcie! Zapewne w najbliższym zeszycie *Biblioteki* usłyszym z pochwalnym na całą gębę dodatkiem zamaszyste doniesienia o tym przekładzie pana profesora trzemeszeńskiego. *Similes similibus gaudent*, a jakżeżby p. Kazimierz-Władysław zaniedbać miał zaregestrować tak pożądaną sobie i swoim wiadomość." (List z 20. sierpnia 1862 r. ze zbioru p. Bog. Kraszewskiego).

Nietylko z krytykami miał kłopot poczciwy filolog. „Po zasmakowaniu" w Herodota przekładzie, na który łożył Alfons Taczanowski, zrobiono Bronikowskiemu nadzieję wydania całej jego Odyssei [1]). Ale cóż z tego, kiedy nakład miał być udzielony w ten sposób, że dla tłomacza niсby nie zostało. „Milionowy wujaszek bezdzietny" ani myślał „ukapnąć coś synowcowi na exystencyę obstrzyżoną ile się tylko dało obstrzydz tym, których to dotycze." Równocześnie prawie spotkał Bronikowskiego zawód ze strony Rogera Raczyńskiego, który cofnął ofiarę łożenia na druk przekładu wszystkich dzieł Platona [2]) (poprzednio nakładem jego wyszedł „Ekonomik").

(C. d. n.)

JAN KASPROWICZ.

KRZAK DZIKIEJ RÓŻY.

I.

Nowy tom dał nam Kasprowicz. Same sonety. Odwracamy kartę z portretem autora. Portret może nie z zupełną ścisłością wierny, ale z utrwalonym charakterystycznym wyrazem tej niepospolitej głowy. Twarz chmurna, niemal groźna, z jakąś skupioną w sobie mocą, mały kąt włosów, wysunięty nad twardem czołem, zwichrzony, jakby tym smugiem przeciągnęła jakaś nawałnica — i głębokie oczy, bijące ukrytym żarem. Ta sama twarz, ta sama moc, w niej uwiązana, wyziera z tych kart. Kasprowicz jest nawskróś męski i krzepki. To najogólniejsze i najbardziej istotne wrażenie, jakie on zawsze sobą daje. Poprostu jest on imponujący tą swą krzepkością, która go całego rozpiera. Tkwi w nim moc i siła, która przykuwa i zmusza do ugięcia się przed sobą, zarówno, gdy dusza jego, upojona zachwytem, rwie się orlim lotem, jak i wtedy, gdy ogarnia ją mrok, żal i melancholia sił starganych. Bo i na nią padł cień wielkiego smutku i nieraz gnie się ona i jęczy pod wichrem bólów ludzkich „w echo tych cierpień, co ranią pierś świata", i omdlałą głowę chyli i „łka żądzą ciszy". Ale właśnie jej moc i krzepkość wewnętrzna czyni tło tragizmu tych chwil, gdy ją rozpacz obejmuje żelaznemi ramiony, szerszem i bardziej głębokiem. Z innym nastrojem w duszy stoimy przed potrzaskanymi burzą dębami, niż przy pogiętych, jasnych i wysmukłych brzozach. I oto łączy się z tem, zdaje mi się, pierwszy

[1]) „Odyssei Homera cztery Rhapsodie" ukazały się w Poznaniu w r. 1859.

[2]) Pierwszy tom Platona wyszedł w r. 1858 u Merzbacha w Poznaniu. Tom drugi ukazał się dopiero w r. 1881 (Poznań). Z dedykacyi X. Augustowi Czartoryskiemu przypuszczać należy iż tenże był nakładcą drugiego tomu.

znamienny rys Kasprowicza. Dla tej organizacyi silnej ból ma znaczenie prawie dodatnie — jest jednem ze źródeł życia. Zapewne, iż nie jest to rzecz zupełnie nowa — dowodem choćby tylekroć używana z rozmaitymi wariantami poetyczna alegorya muszli, w mękach perły rodzącej. Atoli u Kasprowicza życiodawcza moc cierpienia jest opanowana jasną, wyrazistą świadomością, i to podkreśla w dziwny sposób jego pierwotną siłę, nadaje jej jakąś tęgość i żywiołową niespożytość. Już dawniej, we wstępie do „Anima lachrymans“, złożył hołd boleści, błogosławiąc jej, jako macierzy żywota. Tu, teraz, znajdziemy także coś podobnego:

O rozśpiewany, o szumiący lesie!
Wiem-ci ja dobrze, że ten wichr, choć zrywa
Twe i me łono, choć ból z sobą niesie,
Że snać go dusza nie wytrzyma żywa,
Nie jak wróg na nas z dzikim świstem spływa,
Ale najszczerszym przyjacielem zwie się,
Bo najszumniejsze melodye dobywa
Z mej i twej lutni, o rozgrany lesie!

Jego pieśń z bólu wyrosła nie ma bezsilnych obumierań, ale stąpa wśród mroków dumnie, niosąc w sobie siłę życiową.

..... Naszą pierś rozpiera ból,
Lecz w tym bólu nie wyczerpań, nie rozkładu mieszka jad:
Życie drga w nim mocą mocy, co wśród smutnych idzie pól
Chmurnie, groźnie i stanowczo, by stracony zdobyć świat.
Idzie cicha... nie dźwięk fanfar, nie tryumfów głośny wrzask
Towarzyszy jej w tej drodze... Idzie skromna i na twarz
Nie przywdziewa ni proroków, ni kapłanów dumnych mask,
Idzie jako prosty żołnierz... w szarym płaszczu... Idzie w dal
Niewstrzymana... bo iść musi, choć ma jęk za przednią straż,
A za sobą melancholię i tęsknicę, cień i żal...

Inny pierwiastek charakterystyczny, już głębszy, szeroko obejmujący psychiczną indywidualność i nadający jej fizyonomię odrębną, tkwi w stosunku Kasprowicza do natury. Jest nim, nie psychiczne, ale, że tak powiem, organiczne z nią zespolenie. Bywały nieraz u niego momenta panteistycznego, shelleyowskiego stapiania się z przyrodą, jak „W turniach“, gdzie dusza jego rozpływając się w ekstazie, ginie w fali szczytów, oblanych powodzią skier różnobarwnych. Poza tem przyroda nie jest mu obcem istnieniem, ale czemś bratniem, złączonem z nim jakiemś pokrewieństwem wspólnego początku. On dla niej nie jest nigdy obcym bytem, który przybywa szukać na jej łonie nirwanicznego zaniku w jej ogromie, lecz jakby z krwi i kości synem wielkiej macierzy, mającym za sobą tę samą odwieczną przeszłość co i ona, połączonym z nią umiłowaniem serdecznem, które, pozwalając mu czerpać z niej ciszę ukojeń i pierwiastki życia i siły, każe mu w zamian brać w siebie jej bóle, smutki — całą jej duszę. Jak dawniej „Przy szumie drzew“ dusza jego zasłuchana w pomruki boru, wcielała się weń, stając się jednem z olbrzymich drzew, by szumieć wraz z nim w takt starego, runicznego hymnu, tak teraz ten organiczny związek z naturą wykwitł czterema sonetami:

Strunę twej harfy, o szumiący lesie,
Dech ów porusza, co był w onej porze,
Gdy pod budowę wszechświata przyciesie
Pramistrz w niezmiernym układał przestworze —
. . . .
To samo w on czas spłodziło nasienie
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Dwie siostry bliźnie: twą i moją duszę.

Jego pieśń z ziemi wyrosła — jego dusza jakby jej sokami wykarmiona. To jeden z rysów najbardziej pierwiastkowych i sięgający najdalszych głębin istoty jego indywidualności. Może przez to wspólne pokrewieństwo z ziemią w początkach, dawniej jeszcze, gdy Kasprowicz najchętniej obracał się wśród tematów ludowych, poezya jego była najszczerzej ludową, w swej istocie najbardziej bezpośrednio zbliżoną do istoty ludu, podobnie z ziemi wyrosłego i z nią zżytego. Później, gdy pieśń jego roztoczyła się obszerniejszymi kręgami, rozszerzyły się tylko ramy owego zasadniczego rysu — ponad umiłowany „zagon chłopski“ — rdzeń pozostał ten sam. Czuje się u niego zawsze gorące tchnienie matki-żywicielki, chociażby w rozlubowaniu się w obrazach łanów, łąk, pól i w używaniu słów, porównań, przenośni z roli wziętych. Z tą ziemią, otoczoną świętością symbolu, łączy go jakby ślub tajemniczy:

Ziemio! ziemio! smutna ziemio! Snać opuścił cię sam Bóg,
Lecz przeklęta myśl niech będzie, coby chciała szepnąć mnie,
Abym zboczył choć na chwilę z twych żałości pełnych dróg!

Tej duszy, pełnej tytanicznych porywów, duszno wśród nizin, brak jej innego żywiołu, w którymby nią wstrząsały wrażenia tak silne, jak ona. Rzuca się w wichry, tonące w chmurach, zawisa wśród olbrzymich szczytów i przepaści i drży pod ogromem zwieszających się złomów granitowych. Może właśnie wskutek owej ogólnej łączności Kasprowicza z naturą, punkt ciężkości, z którego płynie właściwa siła wrażenia, tkwi nie w opisach, bardzo zresztą poetycznych i pełnych pięknych obrazów, ale w przenikającym je oddechu górskiej przyrody.

Odzywa mi się w pamięci jego „W turniach“. Mamy we współczesnej poezyi mnóstwo przepięknych sonetów tatrzańskich — jednak mniej więcej w przeważnej ich części, to, co w nich zostało oddanem w czarownej nieraz formie, przeszło bądź co bądź przez filtr kunsztu i stąd nieraz po wszystkich wzruszeniach, jakie one dać mogą, gdzieś z głębi zakątków staje myśl, że ostatecznie „tout ça, c'est de la litterature“. Nigdzie zaś tak, jak w tych wierszach, pozbawionych formy, krótkich, urywanych, jakby wyrzucanych w improwizacyi, nie czuje się tak bezpośrednio dzikiej i tajemniczej duszy gór, szalonego pędu, rozrywającego piersi w ogromie chłodnej, przejrzystej przestrzeni powietrznej, rwania na szczyty, zapierającego dech w piersiach, brania się za bary z naturą i upojenia zwycięskiego. To cała epopeja. Podobne wdzieranie się w podniebny świat, pełen przepastnych i zawrotnych głębin — tylko ujęte w że-

lazne ramy sonetu — mamy i tu — w obrazach z Alp i Tatr. Dusza poety, pełna ekstatycznych uwielbień, tonie wśród nagich skał i szczytów. Ze ściętych krzesanic, z rozlanych wód jezior biją na nią zrazu jakby zdroje ożywcze. Nad jeziorem Czterech kantonów owiewa ją „urok Przyrody i duch Winkelryda“ i „w moc i hart bogata“ idzie dalej wśród zrębów skalnych, złomów, lodowców, wśród mgieł i blasków, brodząc „wraz z śmiercią w kaskad, przepadlisk i lawin powodzi“. Jakaś straszna groza przenika sonety „Na lodowcach Aletschu“. Po nich — przecudne, owiane dziwnym smętkiem „jezioro Maerjelen“, na którego zimnych, lodowatych toniach „stado kier białych“ „drzemie, jak śnieżne, uśpione łabędzie“ — i „Na jeziorach włoskich“ — dwanaście sonetów z sobą splecionych, utkanych z blasków świateł słonecznych, igrających w ciszy przeźroczu po lazurze nieba, zatopionego w jasnych wodach jeziora. Wymieniam tylko niektóre momenta z tego pochodu w Alpach. W Tatrach znowu powstał wstrząsający swym powiewem, zawodzący w końcu tragicznym jękiem „Wiatr halny“ i „rozmiłowana, roztęskniona“ „Cisza wieczorna“. „Taniec zbójnicki“ posiada za sobą wiele innych utworów, osnutych na tym motywie. Ma w sobie twardy rytm pieśni góralskich, wyrzucanych ze zdrowych piersi i odbijanych echem po ostrych granitach. Nieco odmienny ton wreszcie wnosi w poezyę Kasprowicza „Krzak dzikiej róży w Ciemnych Smreczynach“ — cztery sonety, złączone jednym symbolicznym obrazem dzikiej róży, rozkwitającej przy limbie zwalonej, próchniejącej.

Jest jedna rzecz osobliwa w przeważnej części tych wierszy z Alp i Tatr: oto wszędzie widzi się samego poetę, ma się ciągle wyobrażenie jego pochodu i tegoż momentów, notowanych — sonetami. Kasprowicz jest bardziej refleksyjnym, niż po malarsku opisowym. Refleksyjnym — w znaczeniu przewagi, z jaką się wybija na wierzch jego wewnętrzne życie duchowe. Obrazy nie są od niego oderwane, nieosobiste, lecz w nich jest on sam, dusza jego, wyosobniona, ciągle czujna, czasem upojona lub wpadająca w zadumę. Drży ona w tych opisach, są w nie wplecione jej rojenia, smutki, tęsknoty, czyniąc je w ten sposób już nie zwykłem odbiciem jej życia, pozwalającem pośrednio, przez ogólny nastrój, dochodzić jej stanów w chwili koncepcyi obrazów i idei, ale wprost bezpośredniem otwartem wypowiadaniem się. Jest to prawie liryczny pamiętnik duszy.

Inna część zbioru posiada podkład ideowofilozoficzny. Na tle górskiem, ponad ostrymi szczytami rozwiesił w niej poeta tkankę swych rojeń. Duch ludzki, zrzuciwszy brzemię ciał — zawisa nad przepaściami, gdzie śmierć spoczywa blada. Wpatrzony w ogromy, „stapia się z bytem bytów“. W dole staje widmo wiekowego tłumu dusz ludzkich, wspinających się wśród jęków rozpaczy, bolesnych złorzeczeń i fali łez własnych, powoli rosnącej, ogarniającej wszystko swym zalewem. Widzenie znika — duch, „co miał wieczności przywidzenie“, do ciał wraca i „czuje trwogę — trwogę...“ Dwie inne części, osnute na motywach wedyckich, wkraczają w sferę metafizyki poetycznej. Stary, przedwieczny temat odbił się w nich potężnym, wcale nie banalnym akordem — tragizmu męczeństwa, dokonywującego się pod zimną obojętnością „słonecznego Waruny... co z głębi cichych przedwieczornych łun wychyla cichą twarz — cichą okrutnie“. Przy końcu tomu jest jeszcze dodany fantastyczny poemat „Na wzgórzu śmierci“. Wśród tłumów zebranych na Golgocie przy ukrzyżowaniu Chrystusa unosi się dusza z raju wygnana, kochanka Lucyfera, uwięziona przy nim rozkoszą upojeń, jakie jej płyną od niego. Patrzy z drżeniem jak wcielenie Dobra, Prawdy i Miłości ginie za nią na krzyżu, ale iść za Nim nie może, bo tęsknota pragnień wiąże ją z odwiecznym kochankiem. Pełna lęku i trwogi, rzuca się w jego objęcia, żądna zapomnienia w gorących pieszczotach i dreszczu upojeń.

Poza symboliczną głębią są w poemacie miejscami obrazy o silnem naprężeniu dramatycznem z tłem nadzwyczaj żyjącem i plastycznem.

II.

Mówiono nieraz, poniekąd w formie zarzutu, iż język Kasprowicza jest ciężki, a forma niewyrobiona. Zawsze zdawało mi się, że ta forma jego, ten wiersz twardy, chropawy, jakby dobyty ze złomów granitowych, jest tak zrosły z nim samym, tak nieoddzielny, iż ta chmurna i groźna poezya w innych kształtach — gładko ociosana, byłaby chyba własną parodią. Nie wiem, czy może istnieć coś ściślej z sobą złączonego, jak duchowa fizyognomia Kasprowicza i jego język. Jego forma nie wypływa bynajmniej z technicznych trudności, lecz jest poprostu organiczną częścią jego psychicznej istoty. Przypominam sobie bowiem jeden z dawniejszych wierszy — tytuł wyszedł mi z pamięci — zaczynający się mniej więcej od słów: „rozwiały się włosy twoje, jak jutrzniane blaski ranne...“ itd. — a taki lekki w swej powiewności, jakich mało znaleść. A znowu „Na śmierć Lenartowicza“ (Anima lachrymans) — małe arcydzieło, w którem w przedziwny niemal sposób zestroił i spotęgował wszystkie tony poezyi lirnika mazowieckiego, posiada kształty tak proste, tak dźwięczne, jak echa pieśni zmarłego poety. Co prawda, forma jego była dawniej nieco grubiej ciosana; zdania szły ciężko, łamiąc się przez kilka wierszy. Dziś, chociaż to charakterystyczne łamanie się pozostało, Kasprowicz uwolnił się nieco od dawnej zawiłości. Może kogoś razić w tym tomie parę słów, niezupełnie odpowiednich („życie świadczy“, „w piekielnej chemii nędz i walk“, „rajska eudemonia“), które spadły, jak obce odłamy, w przetopiony śpiż, ale one giną w tęgim oddechu, jaki owiewa te strofy. Język jego, bardzo bogaty, pełny poetycznych

obrazów, nieraz dziki i brutalny, ma w sobie niekiedy chrapliwy chrzęst żelaza. W jego strofach, jakby w kamieniu ku wiecznej trwałości kowanych, odezwie się czasem surowa powolność biblijnego tonu. Ich brzmienie twarde i silne jest tonem może prawie świadomie wybranym, odpowiednim objawem jego indywidualności — najzupełniejszym jej odlewem. W tej chropowatości jest jakiś odgłos głuchej walki tej wspaniałej natury, szukającej jakby widomego znaku dla tego, co jej potężną pierś rozpiera. To też niekiedy, poza tem, co już znalazło swój wyraz, otwiera się, jakby w perspektywie cała głąb tego, na co już miejsca i tchu nie stało.

Kasprowicz w początkach swego wystąpienia był poetą społecznym. Wiele wierszy z tej doby zawierało w swem powiciu tę samą siłę krzepkiej indywidualności, poza tem miały pewne zabarwienie społeczne — były, że tak powiem, poezyą pewnego kierunku. Później poczęły wchodzić w jego poezyę pierwiastki poetycznie ogólniejsze. Przyszła „Anima lachrymans“ z ciężką melancholią „Maryana Olchowicza“, potem „Miłość“, a w niej „W Turniach“, „Przy szumie drzew“ i „Amore desperato“ z takim boleśnie urwanym akordem — a wreszcie „Krzak dzikiej róży“. Rozszerzały się jej ramy, jak wyżej wspomniałem, zmieniło tło — pozostał w niej zawsze — nie bez walki — podkład natury, mającej w swym składzie pierwiastek społeczny silnie rozwinięty, jaką jest Kasprowicz. Atoli to rozszerzanie było i odrywaniem się. Przenosiła się bowiem ta poezya z pewnych zewnętrznych dziedzin życia społecznego na grunt życia własnego.

I w ślad za tem, jak ona indywidualizowała się, jako czysty wyraz momentów tego życia, stawała się coraz posępniejszą. Snać musiały w biegu czasu przechodzić przezeń drgania tragiczne, które szarpały mu duszę do dna i rozszczepiały ją głębokimi rysami.

Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie!
Wiarę mą strawił twój żołądek wraży!
Dziś moja miłość już zgiąć się nie umie
Na stopniach twoich bezbożnych ołtarzy.
. . . .
Są w twojej piersi wulkaniczne ognie!
Ale stracony, kto się od nich zajmie!
Serce swe spali, duszę swoją pognie,
Jak ćma, tak spłonie w tym służalczym najmie.
. . . .
Dzierżyciel pięści w twoją pierś uderzy,
Na karku twoim swą stopę położy,
Zdrajco, coś ze mnie zdarł zbroję szermierzy,
Wiążąc mię w swojej dławiącej obroży!...

Dla tych, którzy są ciekawi dróg, po których szła ta indywidualność poetyczna od pierwszych „Poezyj“ do dzisiejszego tomu, to jakby rodzaj dokumentu, kryjącego za sobą jedno z najgłówniejszych źródeł tragizmu, który wpił w nią silne korzenie — źródło jednak nie jedyne, jakkolwiek inne pozostają z niem w mniej więcej filiacyjnym związku. To echo walki, toczącej się w łonie samej organizacyi psychicznej między wybujałą jej siłą egotyczną a rozwiniętem w niej poczuciem społecznem wraz z jego ciężkiemi okowami serdecznemi — echo ustawicznego przemagania się, pełnego krwawych łez i łkania bolesnego.

Dla tej duszy rozrosłej mocą, rozgorzałej ogniem, realne życie ze swym zamętem musi mieć jakąś ponętę. Może tkwi w niej przeczucie, że jej siła znalazłaby szersze ujście w czynie. Pociąga ją możność włożenia swych porywów w działanie.

Błogosławiony kto pochwycił wiosła,
I jak bohater puścił się w swej łodzi
Na wichr, co nad nim dziką pieśń zawodzi,
Na toń, co pod nim w dziki szał urosła!
(Życia ogromne morze... itd.)

W tem tkwi rozłam. Między poezyą, wzniesioną w sferę tęsknot i marzeń tajemniczych, a czynem — w dole — na obszarach kipiących fal życiowych zbyt wielka przepaść. I stąd nowa melancholia:

Życia ogromne morze brzmi przedemną,
A ja na brzegu stoję zadumany,
Lękam się nawet spojrzeć na bałwany,
Oczy mam tylko w dal utkwione ciemną.
. . . .
Na jawie przędę z mgieł obrazy senne,
By okryć niemi to morze bezdenne,
Co z takim szumem swoją wieczność toczy.

Lecz poetę łączą z tem morzem nici cienkie, w serce wrosłe, które wszędy się za nim wdzierają.

Na krawędzie przepaści, ponad turnic załomy;
Tu, gdzie orły jedynie tulą skrzydła znużone,
Hej! wspięliśmy się dumnie i w błękitów ogromy
Wzrok topimy zuchwały i dłoń wznosim po słońca koronę.

Dla olbrzymów te szczyty, a dla karłów poziomy!
Gardźmy płazem, co nie śmie nawet spojrzeć w tę stronę!
W ten krąg złoty wpatrzeni, w znak sił naszych widomy,
Zakochajmy się w sobie! Wszak jesteśmy, jak blaski wcielone!

Tak nam duszę rozpiera tężna szczytu ponęta
Tem szaleństwem radości, że zrywamy już pęta,
Co nas łączą z brzemieniem nędz padolnych, tak wczoraj odczutem...

A od nizin, zasłanych pobitemi zbożami,
Po sinawej mgieł fali płynie powiew za nami,
Jakby echo jękliwe, i do serca się wkrada wyrzutem...

Innym razem dusza, zmęczona szamotaniem się w sieci utkanej przez to „morze życia“, wybuchnie żądzą rzucenia się na oślep w wir wstrząśnień, któreby rozpętały drzemiące w niej moce.

Miałem-ci w sobie ongi moc czuwania,
A dzisiaj senność ogarnia mi ducha:
Gdzie życie wrzało, tam dziś pustka głucha,
Gdzie słońce było, chmura blask przysłania.
Jakowaś boleść, jakaś zawierucha,
Co słabym bytom pewną śmierć wydzwania,

Niech, jak halnego wiatru, straszne grania,
Wstrząśnie istotą moją: Jest-li krucha,
To po niej żalu nie będzie... A jeśli
Nieprzełamana wyjdzie z tych zapasów,
To razem z wichrem taki szlak zakreśli,
Że zetnie na nim smreki swym oddechem,
Sił pozbawione dla idących czasów,
A to, co mocne, odpowie jej echem.

Ale naprożno wśród niszczącego żywiołu woła: „niech świat przepada, na to on, by ginął!“ Gdy dojdzie doń jęk, płynący od spustoszeń, duch jego

. . . . . do smreków tuli się bezwładnie...
I naprzód czuje strach i żal ponury,
A potem znowu senność go opadnie...

Wspomniałem, że wiersze z gór stanowią pewien rodzaj lirycznego pamiętnika poety. Tkwi w nich jeszcze coś innego, prócz pragnienia wielkich wrażeń ze sfer, gdzie przyroda objawiła się w najbardziej wstrząsających formach. Drga tam gorąca tęsknota oderwania się od życia, przecięcia wszystkich nitek serdecznych z niem łączących, a tak w zamęcie boleśnie poplątanych, że dusza niemi omotana opada ze znużenia — żyje chęć ucieczki w odciętą atmosferę spokoju, rozwieszonego na szczytach. Ale przez podwoje wielkiego państwa skał weszła dusza jego nie sama — wkradły się za nią jej obawy i pamięć powrotu — wkroczyła przekształcona przez blizny i skazy, z ciągle żyjącą pamięcią wszystkich drgnień i umęczeń przeszłych. Ma je ustawicznie w sobie, odbijają się one ku niej od wydzierających się w niebo ścian skalnych, od wód cichych, rozświetlonych w słońcu. I na jeziorach włoskich, wśród jasności, zdającej się cały świat zalewać, popada w zadumę i, rojąc, że „z takich rozemdleń szklistego jeziora, z takiego blasków słonecznych rozgrania“ wyszła niegdyś Afrodyte, wznosi hymn miłości, o gorącym kolorycie „Pieśni nad pieśniami“ — poetyczną pieśń ciała. Zda jej się, że naokół słyszy „upajającą pieśń blasków o szczęśliwości, co idzie z kochania... o szczęśliwości, co w zakątek głuchy, zdala od krzyków i zabiegów świata... dla siebie ciche gniazdo splata... i śpi, obojętna, że tam gdzieś Zatrata bierze się z Życiem za bary“...

A tylko czasem, gdy w gmach jej spokoju
Przedrą się z zewnątrz nazbyt głośne szczęki,
Echa uderzeń broni, echa boju,
Co na krwi łanie trwożne rodzi lęki,
Wstaje zdziwiona, i z rozpaczną mocą
Rzuca pytanie w okrąg: po co?... po co?...
. . . .
Po co się zrywać w spienione odmęty
Walki, wszczynanej o tysiączne złudy,
Które prawdami zwie ten świat, przejęty
Kłamstwem i fałszem...
. . . .
Rozczarowania naco i boleści
Szukać gdzieś w sferze, chmurami zakrytej,
Kiedy nadziei spełnienie się mieści
W drżących objęciach jasnej Afrodyty?
Na co szturmować, gdzie kłam zasiadł w gości,
Gdy wszystka prawda jest tylko w miłości?

Lubię te sonety przepyszne. Gdyby cały ten tom był skazany na zniszczenie, wydarłbym „Na jeziorach włoskich“ z tym ich hymnem miłosnym i melancholią — dla siebie, tak, jak dla autora samego ocaliłbym „Akordy jesienne“ — poczęte pod ołowianem niebem, kiedy wzrok idzie, gubiąc się, przed się — z człowieka wiary i siły, jak zeschłe liście, opadają, a w mgłach snuje się żal sił starganych i rozpacznie wsiąka w duszę, która, w trwodze obudzona, zwija się, zdjęta żałością nad sobą samą.

Mimo tego tragizmu, a może właśnie przez jego rodzaj, rdzeniem tej organizacyi jest siła niespożyta. Kasprowicz sam z siebie wyrósł. Tkwi w nim indywidualność potężna, szorstka, oporna wpływom. Może co najwyżej odezwie się czasem u niego leciuchno ton — rzecz dziwna — eterycznej poezyi Shelleya, którego z upodobaniem tłómaczył. Lecz nigdzie tak do dna nie odsłania się ten duch, karmiący się ukrytą dumą swych orlich lotów, jak w „Akordach jesiennych“. Jesienny wiatr, gwiżdżąc posępnie, wdziera się w duszę poety, siejąc strach i zwątpienie.

Z za mgławic wstaje przed nim dawny duch młodości, pełen porywów i marzeń — wstaje i idzie ku niemu z nadziejami dawnemi.

Idzie — w drodze kształt swój zmienia: Apolina gładką skroń
Na pochmurne zmienia czoło, pełne krwią nabiegłych żył,
Lutnię zmienia w pług żelazny, na siermięgę chiton muz...
Idzie — idzie — na globusie zolbrzymiałą kładzie dłoń,
Świat wywraca w jego osiach, wielkie morza w dżdżysty pył,
Wielkie góry ziemiowładne w piarg roztrąca, w marny gruz.

Ten wielki sen młodości teraz doń wraca; poorane ma lica, zimny pot okrywa mu czoło, ale niesie z sobą niestartą dawną dumę świętą, „że jest z ludu krwi i łez“. I dusza poety ocucona wyrywa się w mroki jesienne, na dalekie obszary — aż zatrzymuje się przed wielkim rozgwarem życia. Wyrasta przed nią olbrzymie widmo, „Duch uśpionych w dole ciał“ a nad nim unosi się krwawa chusta i krzyż ogromny. To płyną zastępy i hufce zmarłych, całe wieki przesuwają się w gwarze i zamęcie. Dusza poety, porwana pieśnią życia, zapatrzona w znak olbrzymi, leci z tym tłumem w dal nieskończoną, tam

Gdzie nad krawędź ciemnej ziemi strzela zorza jak ten krzak —
Gorejący krzak pustynny, w którym Bóg przemawiał — Bóg!...

Takiej dumy wzniosłej, jaką tętnią te „akordy“, wydobyte z poszumu jesiennego wichru, takiego majestatu siły własnej nie mieliśmy już dawno — bardzo dawno — —

A teraz jeszcze na zakończenie:

Cóż, że jestem dziś samotny jak smagany wichrem głóg?
Cóż, że barwną swą koronę pośród zimnych tracę burz?

Wszak naturze, matce wielkiej, zaciągnięty-m spłacił dług —
I jam z pola wszak nie schodził, jak leniwiec albo tchórz!
Niech mi syczy głos zawistny: Więdniejące liście złóż!
Niech odpycha mię od siebie znikczemniałe plemię sług!
I jam rzucił plenne ziarna, z których wzrosną pęki zbóż,
By wzbogacić człowieczeństwa ten otwarty wielki bróg!
Szalej wichrze! zrywaj liście! mieć śnieżycą! dżdżami pluj!
Siecz po skroni! włos rozwiewaj! aż do ziemi krzyże gnij!
Płaszcz potargaj na łachmany, z rąk podróżny wytrąć kij!
Mogę stanąć jak wylękły, mogę jęknąć na ten znój,
Mogę skrzepłą krwią rozpaczy o niebieski rzucić skłon.
Lecz tej dumy mi nie wydrze twój, szalony wichrze, gon!

Onorate l'altissimo poeta!

T. Sobolewski.



Przegląd Przeglądów.

Biografowie poetów.

Powtarzamy w całości, jako bardzo na czasie artykuł p. Zenona Pietkiewicza umieszczony w numerze 29 *Prawdy:*

Do najpiękniejszych chwil w życiu zaliczam te, w których młodociany umysł chciwie i gorączkowo pochłaniał utwory naszych wieszczów. Wyobraźnia płomienna, gorąca, przejęta siłą ducha poetów, oderwana od ziemi unosiła się nad poziomy, wybierała najpiękniejsze, najwznioślejsze sfery idealne, i w nich przebywała tak długo, jak tylko na to pozwolić mogło życie realne na padołach codziennych. Któż z młodzieży wrażliwej, nieoschłej duchowo i moralnie, nie doznał tych chwil rozkosznych? Kto potrafił się oprzeć temu urokowi i sile wielkich umysłów natchnionych, porywających swą potęgą? Kto wzniesiony tą siłą wysoko, nie spojrzał na dół i na „płazy w skorupie“, lub zagrzany czystymi ideałami i braterstwem nie odwrócił się ze wstrętem od tych, co byli „sami sobie sterem, żeglarzem, okrętem?“ Niejeden z nas w chwili porywu entuzyastycznego, „padłszy śród zawodu“, był gotów nawet swem poległem ciałem — „dać innym szczebel do sławy grodu“.

Umysły młodociane uprawiały kult geniuszów, kształciły się i mężniały pod ich wpływem. Więc gdyby się znalazł jaki bluźnierca, którzyby śmiał cisnąć brudne słowo poecie, ściągnąć go z obłoku pływającego nad powierzchnią ludzką, takiego zuchwalca conajmniej wykluczonoby z koła braterstwa duchowego. Wogóle ludzi wielkich, genialnych, zdolnych do porywania umysłów i budzenia szlachetnych pierwiastków duchowych, staraliśmy się idealizować, nie stosowaliśmy do nich słów poety: „Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością“. Wielki duch, wielki umysł musi mieszkać w człowieku doskonałym, wzniosłym, szlachetnym, czystym, niepospolitym nawet w najpowszedniejszych sprawach życiowych; w człowieku, który potrafi chodzić nawet przez błoto, nie zawalawszy się w niem wcale, który umie w sobie pokonać wszelkie zarodki słabostek, stąpać śmiało i mocno po pochyłościach, patrzeć jasnem okiem w niebo i jednocześnie omijać kałuże na ziemi, roztrącać orlemi skrzydły unoszące się nad nizinami chmury ołowiane i wzbijać się sokolim lotem wysoko nad niemi. Tak młodociane umysły odtwarzały wielkich, genialnych ludzi i takimi starały się zachować jak można najdłużej w swej wyobraźni. Nawet później wzbogaceni doświadczeniem i zubożeni odarciem ze złudzeń, usiłowaliśmy zapominać, że ci wielcy i niepospolici czasem musieli ze swych wyżyn niebotycznych schodzić na padoł powszedniości i zamieniać się w ludzi pospolitych.

Czy z takiem idealizowaniem geniuszów było źle umysłom młodocianym? — Przekonaliśmy się, że ze wszystkich złudzeń na świecie te są najlepsze, które pielęgnują w sobie ogień entuzyazmu, broniącego dusze od zardzewienia. Takim właśnie ogniem był nietylko zapał, wywołany słowami mistrzów natchnionych, ale i utrzymywanie ich postaci na wyżynach w aureoli czystego światła.

Innemi zasadami rządzą się dzisiejsi „komentatorowie“ naszych wieszczów. Z artykułu Tetmajera w *Tygodniku ilustrowanym* dowiedzieliśmy się, że dzieło p. Ferdynanda Hösicka „O życiu Juliusza Słowackiego“ galicyjska rada szkolna odznaczyła poleceniem gimnazyom. Umysły młodociane wzbogacą się tedy szczegółami biograficznymi o Słowackim, t. j. obarczą swój umysł balastem w znacznej części zbytecznym, jednocześnie zaś zubożą się tem, co nas wzbogacało i czem mogliśmy się szczycić. Tak np. młodzież szkolna dowie się, że Mickiewicz, ten wieszcz, co każe unosić się nad poziomy, jest to sobie taki zwyczajny „facet“, który umie „wymyślać“ Słowackiemu, obelżywie wypędzać go z posiedzenia Towiańczyków, krzycząc na niego: „Paszoł won, durak!“! że Słowacki pochlebczo, niesmacznie i bez godności uniżał się przed Mickiewiczem, że bywanie u Czartoryskich w Paryżu „mile łechtało miłość własną Słowackiego“, gdyż „nie każdy tam bywał przyjęty“, że zatem był najpospolitszym, najmarniejszym człowiekiem, zdolnym do uniżania się przed tym, na którego poparcie moralne liczył, jak również do płaszczenia się przed arystokracyą, której blask zaćmiewał promienną koronę jego geniuszu, rozrzucającą szeroko sławę. Wogóle z anegdotycznego opowiadania p. Hösicka młodzież szkolna dowie się, że Słowacki był zwyczajnym sobie nicponiem. Czy wobec tego młodzież owa potrafi się entuzyazmować strumieniem piękności, płynącym przez tych, którzy nie są pięknością? Czy potrafi ze słów natchnionych czerpać siłę do zbudzenia w sobie szlachetnych pierwiastków ducha? Gdybyśmy np. wiedzieli, że na dnie czystego zdroju leży padlina, nie bardzo by nam smakowała woda z niego, choćby była najklarowniejsza.

Słabe drobne ptactwo podobno podczas wędrówki dorocznej chowa się pod szerokiemi skrzydłami ptaków dużych i korzysta z siły ich lotu. W taki sam sposób drobne ptactwo literackie korzysta ze skrzydeł potężnych geniuszów, chcąc tą drogą dojść do sławy. Biografie poetów, bez względu jak są pisane, torują ich autorom wstęp do poważnych miejsc w literaturze; w rzeczywistości zaś wyrządzają jej wielką szkodę. Biografowie „psycholodzy“ (!) wzięli sobie za zadanie rozbierać naszych wieszczów do naga i w takiej postaci pokazywać ich ogółowi. Dzięki temu wiemy, co i kiedy oni jadali, jaki tytoń palili, jak się łajali, znamy różne na ich karb zmyślone anegdotki. Niewątpliwie p. Hösick i inni mogliby jeszcze coś więcej powiedzieć o czynnościach codziennych i nawyknieniach poetów, a nawet uroczyście zapewnić, że czynności te były nieodłącznym warunkiem istnienia; ale... niestety, nie mieli materyału odpowiedniego. którego nie przekazał im czas, ten srogi niszczyciel...

Gdy jednak poważnie i głęboko zajrzymy do działu studyów w literaturze naszej, przerażająca pustka rozpaczą nas napełni. Z wyjątkiem dzieła Chmielowskiego o Mickiewiczu, nie mamy prawie nic. Możemy jeszcze się pochwalić pracami Tarnowskiego o Krasińskim, Małeckiego o Słowackim, no i — pana Hösicka. Ale nie mamy tego, co posiadają literatury obce, jak np. praca Lewesa i wielu innych o Goethem, Gervinusa o Shakespearze itd. Nasi komentatorowie i autorowie biografij „psychologicznych“ umieją się babrać w kurzu po pamiątkach wieszczów, zastanawiać się nad ich połamanymi guzikami i podartem obuwiem, z płaskich i bezwartościowych anegdotek wysnuwać wnioski... psychologiczne, za pomocą bujnej wyobraźni nadawać znaczenie temu, co można było pominąć zupełnie — a nie umieją napisać gruntownych studyów, w których rzeczywiście odmalowałyby się w całej pełni postacie duchowe i umysłowe naszych wieszczów. Doprawdy, tysiąc razy wolę „Listy z podróży“ Odyńca, niż tego rodzaju sieczkę nastrzępioną, bo tam przynajmniej bez pretensyi, lecz w żywych barwach są skreślone postacie wielkich ludzi w różnych warunkach życia. Gdy Odyniec opowiada o czernieniu Mickiewiczowi spiącemu brwi za pomocą korka spalonego przez figlarzy wesołych, wierzymy i nie widzimy w tem żadnej ujmy dla potężnego poety. Gdy zaś pan Hösick wydobywa z wątpliwych źródeł takie cacko, jak: „Idź precz durniu!“ — budzi to niesmak niesłychany i zniechęca do „studyów psychologicznych“ tego autora. Mógł nieraz Mickiewicz powiedzieć w swojem życiu: „durniu“, a nawet i „ośle!“. Łatwiej to jednak wybaczyć twórcy „Pana Tadeusza“, niż p. Hösickowi wydobywanie takich śmieci, które podaje czytelnikom za złoto.

Mickiewicz i Słowacki odbywali długie podróże i to nie sposobem nowoczesnym. Jeździli końmi, nocowali nieraz w różnych zajazdach i oberżach, gdzie niewątpliwie toczyli walkę z masą drobnych stworzonek krwiożerczych, o czem jeszcze nie mówił zdaje się żaden komentator. Gdyby jednak którykolwiek z wieszczów naszych zbudził się i przeczytał to wszystko, co o nim piszą, doznałby może większego podrażnienia skóry, niż podczas noclegu w najniechlujniejszej oberży.

Zenon Piętkiewicz.

RECENZYE i SPRAWOZDANIA.

Stanisław Kozłowski. **Taboryci**, dramat w 5 aktach. Warszawa 1898, nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“. (Tom I. bezpłatnego dodatku tejże gazety, str. 173).

Wskrzesić chciał autor „Turnieju“ na deskach teatralnych postacie ponurych rewolucyonistów, fanatyków, których siedliskiem było miasto czeskie Tabor, podczas wojen husyckich w XV. wieku. Tam kipiała najgwałtowniejsza rewolucya, tam ścierały się w zarodku najjaskrawsze prądy socyalne, tam wrzały mózgi, płonęły ogniska przewrotowych idei. Zgasiły je potoki krwi, w których pod Białą Górą utonęła na kilka wieków niepodległość narodu czeskiego.

Przedmiot wielki, godny dramaturga mocnej ręki. P. Kozłowski pisząc dramat musiał jednak się stosować do ram, w jakich mogła ukazać jego dzieło scena warszawska. Dlatego też widać w dramacie zasadniczą nieodpowiedność pomiędzy założeniem, a całością obrazu. Niema tu silnego wrzenia namiętności politycznych, ani starcia się idei nurtujących w obozie taboryckim, natomiast na pierwszy plan występują ambicye i nienawiści osobiste. Taboryci stoją obozem pod Lubohradem i szturmują zawzięcie do murów zamku, siedziby starożytnego rodu Mitrowiców. W ich obozie wodzem jest stary Milicz, następca Żyżki, wojak żelazny posiwiały w bojach. Milicz powinienby iść pod Tabor, gdzie husytom grożą klęski, ale przyrzekł przed śmiercią Żyżce, że zgnębi hrabinę Mitrowicz z powodu osobistej zemsty. Obie strony walczą z bezwzględnem okrucieństwem, palą i mordują jeńców. Instynkta mordercze hulają w bratobójczej walce.

W obozie Taborytów wrogiem Milicza jest fanatyk Radowan, który nie bez racyi twierdzi, że osobiste niesnaski szkodzą taboryckiej sprawie. Duszą partyi prawowiernej, wspieranej po części przez Niemców, jest hr. Renata, pyszna, majestatyczna mścicielka swego rodu. Ona obrońcom Lubohradu dodaje ducha, ona wre zemstą na Taborytów, ponieważ Żyżka kazał jej syna Ernesta upiec żywcem. Ona z królewską powagą rządzi w lubohradzkiem zamczysku, tulącym szlachtę w swych murach. Pomimo oblężenia i okrucieństw wojny, na zamku życie rycerskie płynie wśród igrzysk i pieni trubadurów. Te epizody średniowiecznej galanteryi autor oddał bardzo charakterystycznie, a w zalotach truba-

dura Kleofasa do panny dworskiej Celiny dał bardzo dobrą i świeżą parodyę rycerskiego sentymentalizmu. Pomimo walki, pomimo wściekłych nienawiści stanowych i politycznych, jakie dzielą wrogie obozy, poeta rzuca pomiędzy nimi tęczowy most miłości. Syn wodza Taborytów Lumir i Berta, wdowa po zamordowanym Erneście, ulegają prawu erotycznego przyciągania, którego przeznaczeniem jest gładzić przeciwieństwa i nienawiści społeczne.

I powtarza się znany jeszcze w literaturze indyjskiej dramat tajemnej miłości, która łączy kochanków pomimo nienawiści rodowej. Bramin Bhawhabuta porównywał do błyskawicy letniej miłość Madhawy i uroczej Malati, których rodzice ministrowie byli zaciętymi wrogami. W piętnaście wieków potem Szekspir czarem nieśmiertelnym otoczył miłość kochanków werońskich. Ta potęga uczucia miłosnego, wznoszącego się ponad nienawiści rodowe i stronnicze — to jest motyw wiekuisty romantyczny, który przemawia i przemawiać będzie do serc ludzkich, dopóki będzie istnieć na ziemi idealna i uczuciowa strona miłości.

Szkoda tylko, że w dramacie p. Kozłowskiego słońce poezyi rzuca skąpe promienie na parę kochanków, Bertę i Lumira, którzy kochają się z melancholią i rzewnością, ale bez przekonywającej siły uczucia, bez młodzieńczych zachwytów, bez upajającego polotu wyobraźni. Miłość ta wyraża się we frazeologii pięknej, ale niedość odczutej. Daleko silniej przemawiają w dramacie uczucia rodzicielskie przez usta Milicza, który wstępuje do jaskini wrogów, aby ocalić syna schwytanego jeńcem podczas walki. Milicz wzrusza i przekonywa — wielką grozę budzi hrabina Renata, energiczna, dysząca zemstą, z ciągle krwawiącem się sercem po śmierci syna. Sceny, w których ta despotyczna kobieta korzy się przed słowami spowiednika Joachima, są po prostu wspaniałe. Gdy Renata dowiaduje się, że jej synowa hrabianka kocha Lumira, taborytę i odszczepieńca, wstrząśnienie gniewu i rozpaczy jest tak silne, że logicznie prowadzi do śmierci.

Niewielkie rozmiarami są postacie Milicza i Renaty, ale autor ukazał w nich pasowanie się silnych dusz ludzkich, wplecionych w koło nieszczęścia, odmalował namiętności niezwykłej miary, szamocące się z koniecznością losu.

Miłość nie jest dość mocną, aby się ostać w zamęcie walki. Kochankowie chcą wyrwać się poza sferę bratobójczej wojny. Schwytani giną na stosie skazani na śmierć przez Radowana, który na chwilę wydarł władzę Miliczowi, aby stać się katem dla jego syna za rzekome odstępstwo od sprawy husyckiej. Milicz wracając z utarczki zwycięskiej klęka chwilę nad zgliszczami stosu i tłumiąc ból osobisty, każe trąbić pobudkę bojową, idzie pod Tabor walczyć za sprawę husycką, „aż Pan odwoła strudzoną załogę“.

Ostatni akt za dużo ma efektów zewnętrznych jaskrawych, ale daje rozwiązanie podniosłe. Jak w dziełach wielkiej poezyi widzimy tu uświęcenie idealne szlachetniejszych porywów duszy ludzkiej, pomimo materyalnego tryumfu nienawiści i przemocy. Kompozycya dramatu przeładowana epizodami, ale pomyślana dobrze i trafnie. P. Kozłowski w pomyśle i przeprowadzeniu osnowy jest poetą istotnie dramatycznym — jego dzieło ma mocny kościec. Autor czuje i rozumie dobrze wymagania sceniczne, nie szuka efektu zewnętrznego, ale wyprowadza dramat z wnętrza dusz ludzkich. W postaciach jego jednak niemasz psychiki pełnej i realnej. Autor widzi w nich uczucia naczelne, oddaje ich w sposób czasami szczery i przekonywający, ale bez komplikacyj szczegółowych, wzmacniających wypukłość charakterystyki figur, na którą zresztą niema miejsca w kompozycyi bogatej, ale przeładowanej epizodami. Znać zresztą w całości wytrawną technikę, przygotowanie umiejętne sytuacyi, wyzyskanie efektów i wydobycie w wielu scenach kolorytu dziejowego. Autor jest romantykiem trochę starej daty, pisze jasno, nie używa efektów nastrojowych, nie wpada w mistykę ani symbolizm i dlatego nie zyskuje poklasku jednostronnych sekciarzy modernizmu w dramacie. Język jego i jędrny i prosty, studyowany widocznie na polszczyźnie złotego wieku — wiersz płynie potoczyście, robiony jest wogóle dobrze, czasem tylko zbyt łatwe rymy nie podnoszą uroku formy.

Talent p. Kozłowskiego w tym utworze migoce jak ogień przytłumiony tu i owdzie kawałami wilgotnego drzewa. Niektóre ustępy dramatu chłodne lub niedość odczute, zato w scenach pojedyńczych, zwłaszcza w akcie II. i III. autor zdobywa się na wybuchy energii bardzo piękne i wywołuje wielkie wrażenie. Tak silnych i wstrząsających do głębi momentów niemasz w „Turnieju“ ani w „Esterce“, chociaż główny wątek w jego poprzednich dramatach jest pełniej rozwinięty, a całość równiej wykonana. Talent p. Stan. Kozłowskiego potrzebuje tematu, któryby go porwał, wydobył z duszy silny a równy płomień zapału, któryby całe dzieło przejął drgnieniem poetycznej żywotności.

Józef Kotarbiński.

Katalog zbiorów mickiewiczowskich, znajdujących się w Muzeum Narodowem w Rapperswylu. Kraków, 1898, str. V, 76.

I Muzeum rapperswylskie postanowiło, czem mogło, przyczynić się do uczczenia pamięci króla pieśni polskiej w roku jubileuszowym. Toż nie bez pożytku dla badaczów życia i dzieł poety będzie leżąca przed nami książka, wydana z wielką starannością na papierze dokumentowym, a zawierająca w sobie spis portretów Mickiewicza, illustracyj dzieł jego, pamiątek po nim i wreszcie literatury tyczącej się pism jego i jego żywota, przechowywanych w oddziale „Mickiewiczianów“ w jednej z sal Muzeum. Zbiór ten, rzec można śmiało, powstał jedynie i wyłącznie dzięki publicznej ofiarności, najwię-

cej jednak zawdzięcza pierwszym dobroczyńcom Muzeum, Władysławowi hr. Platerowi, Krystynowi hr. Ostrowskiemu, Sewerynowi Goszczyńskiemu i Leonardowi Chodźce. Łatwo zrozumieć, iż mężowie ci musieli wiele wnieść przez swoje dary autografów Mickiewicza, sami bowiem w ciągłych na emigracyi z nim pozostawali stosunkach. Dotąd mało kto wiedział, jakie materyały kryją się w archiwum rapperswylskiem, to też wiele wdzięczności winniśmy zarządowi Muzeum, że choć tylko rzeczy tyczące się Mickiewicza odsłonił oczom historyków literatury.

Cały ten katalog dzieli się na trzy części: pierwsza, zatytułowana „Ikonografią“, zawiera wiele portretów oryginalnych, jak niemniej i sztychów oblicza poety, między którymi na naczelnem miejscu należy postawić portret kredkowy L. Horowitza, pochodzący z jego daru. Na baczniejszą też uwagę zasługuje medalion bronzowy wykonany przez Borrela, gdyż medalionu tego istnieją tylko trzy egzemplarze. Niemało też widzimy w katalogu projektów pomnika Mickiewicza i illustracyj do dzieł jego.

Oddział drugi, niestety zbyt małym jest i szczupłym, pamiątek bowiem po Mickiewiczu znajdujemy dziewięć, mianowicie: włosy poety, posążek Matki Boskiej, pióro orle ofiarowane Mickiewiczowi przez Serbów, kałamarz, fajkę, chustkę jedwabną, fez, kawałek aksamitu z obicia trumny i kawałek blachy z trumny pochodzący.

O wiele zato bogatszym jest oddział trzeci, zawierający t. zw. „archiwum Mickiewiczowskie“, osobliwie na uwagę zasługują rękopisy poety. Najpokaźniej występuje kurs wykładów paryskich złożony z 11 numerów, które to rękopisy bądź Mickiewicza, bądź stenografa, służą obecnie prof. Nehringowi do ułożenia autentycznego tekstu prelekcyj, jaki wyjdzie nakładem Towarzystwa literackiego im. Mickiewicza w wydaniu dzieł przez nie podjętem. Pokaźną liczbę reprezentują też listy poety, przeważnie już wydane w „korespondencyi“, trzy zaś dotąd nieogłoszone wydrukowano w omawianej przez nas książce, list mianowicie do L. Chodźki z Würtzburga 1831 roku, do Kurtza i do Kr. Ostrowskiego. Na tem też miejscu musimy sprostować błąd, jaki się zakradł do listu pierwszego; zamiast bowiem słowa „skąd“, powinno być „stąd“. W dalszym ciągu znajdujemy tutaj kilka mów poety wygłoszonych w kole Towiańczyków, a spisanych przez Goszczyńskiego, o tych zresztą na innem miejscu będziemy mówić. Niemało też materyałów, przeważnie niewydanych (część ich wnet będzie ogłoszona), zawierają rękopisy innych osób o Mickiewiczu, najliczebniejszym zaś z całego tego katalogu jest zbiór dokumentów dotyczących towianizmu, a zebranych przez Goszczyńskiego i Chodźkę, bądź przez samego Towiańskiego.

Smutny wszelako widok przedstawia spis dzieł traktujących o życiu i dziełach Mickiewicza, na pierwszy bowiem rzut oka łatwo zobaczyć luki przerażające. Dość chyba wydatnym przykładem będzie, jeżeli wymienimy brak dzieł takich, bez jakich niepodobna dziś pisać o Mickiewiczu; a zatem ani śladu niema „Żywotu“ skreślonego przez Wł. Mickiewicza, zarysu Chmielowskiego, sześciu tomów „Pamiętnika“ wydawanego przez lwowskie Towarzystwo Mickiewiczowskie, „Dzieł“ wydanych przez to Towarzystwo, nie spotykamy ani jednego ze studyów prof. Tarnowskiego o Mickiewiczu (o Księgach pielgrzymstwa, Konfederatach Barskich, Dziadach), ani Gostomskiego „Pana Tadeusza“, ani „Messyanistów i Słowianofilów“ prof. Zdziechowskiego, z dzieł mających drugorzędne znaczenie brak tutaj prof. Tretiaka „Mickiewicza w Wilnie i Kownie“, Nehringa studyów zawartych w wydaniu zbiorowem jego prac, z materyałów zaś nie spostrzegamy aktów wydanych przez Wasilewskiego i Szeligę w „Archiwum do dziejów i literatury w Polsce“. Mylnie też zaciągnięto dra Chmielowskiego „Studya i szkice“ pod tytuł „Nowa Biblioteka Uniwersalna“ (str. 51). Nie jest to bynajmniej winą zarządu Muzeum, iż tak olbrzymie braki (myśmy część drobną tylko wymienili) zdradzają zbiory biblioteczne, brak bowiem funduszów nie pozwala myśleć o zakupnie, całą winę w tym wypadku muszą ponieść autorowie dotyczących dzieł. Nakoniec — jedno życzenie, które, nie schlebiając sobie, uważamy za bardzo racyonalne. Oto, o ile nam wiadomo, archiwum rapperswylskie zawiera nieoceniony materyał w rękopisach, bez katalogu jednak korzystanie z niego jest prawie niemożliwe, a rzadko kiedy jest połączone z dokładnością. Czyby tedy świetny Zarząd nie mógł się postarać, by obecnie po skatalogowaniu zbiorów muzealnych, wydano katalog drukowany, jaki wszystkie niemal biblioteki polskie posiadają? Bezwątpienia takiem wydawnictwem zyskałby sobie wdzięczność wszystkich pracujących na niwie ojczystej literatury i historyi, którzy też czuliby ściślejszą łączność z Muzeum i nieomieszkaliby zasilać zbiorów jego swojemi pracami i publikacyami. Czyby wreszcie, gdyby brak funduszów stał na przeszkodzie, nie można część kapitału, potrzebnego na druk katalogu, uzyskać w drodze subskrypcyi, od której nikt nie powinien się uchylać? Oby to nasze życzenie tylko nie stało się — życzeniem niespełnionem...

Stanisław Zdziarski.

Dwa rozdziały ze wspomnień Jana Aleksandra hr. Fredry ukazały się najpierw w krakowskim *Przeglądzie Polskim,* następnie zaś zwykłą koleją losów w osobnej odbitce. Drobiazg to nie pozbawiony zapewne niejakiego interesu, ale drobiazg tylko, który mógł śmiało figurować jedynie w krakowskim miesięczniku, gdyż jako specyalna odbitka chyba dla rodziny i przyjaciół nieboszczyka ma pewną wartość. Ciekawy ogół czytelników znajdzie tutaj na kilkunastu kartach druku parę drobnych szczegółików z domowego żywota ojca komedyi polskiej; z humorem i zacięciem, ale naszkico-

wane zaledwie lata dzieciństwa Jana Aleksandra hr. Fredry; cośkolwiek o jego braciach i najbliższej rodzinie; parę charakterystyczniejszych sylwetek sąsiadów — i na tem koniec. Większe zainteresowanie wzbudzi załączony do wspomnień najdawniejszy, o ile wiemy, utwór rymowany Aleksandra hr. Fredry pod oryginalnym tytułem „Lampartiada." Życzyćby należało, żeby ogłoszone dwa rozdziały stanowiły pewnego rodzaju wstęp do dalszego ciągu wspomnień hr. Jana Aleksandra. Zdaje się jednak — niestety — że jest to wszystko, co odszukać zdołano w pozostałych po nim papierach. *M. Rolle.*

Bibliografia czasopism polskich.

I. Beletrystyka.

Ar. St. Straszny zamek, podanie gminne z nad Brdy. Goniec Wielkopolski nr. 202.
Bożydar. Było to pod Tude ą. Kur. Warsz. nr. 223.
Bukowiński Wł. Pamiętasz, (wiersz). Prawda nr. 28.
Chochlik. Romans rymoroba. Kur. warsz. nr. 32.
Gliński K. Nie mów, że kochasz. Kur. warsz. nr. 209.
— Pragnienie (wiersz). Kur. warsz. nr. 222.
Grabowski B. Jadwiga Tarłówna, dramat. Ateneum lipiec i sierp.
Gryf W. J. Spadek po przyjacielu, nowela. Głos nr. 39.
Helistan. Sąd honorowy, obrazek. Rola nr. 32 i 33.
Konopnicka M. Piosenka. Kur. warsz. nr. 211.
Leśmian B. Sen świecy. Głos nr. 37.
M-ski A. Odpowiedź, (wiersz). Głos nr. 31.
Maliszewski E. Strach, szkic. Prawda nr. 28.
Nadrój. Mądry chłop, nowela. Życie nr. 29 i dalsze.
Niemojewski A. Usychasz kwiatku. Życie nr. 31.
— Pastuch w borze. Życie nr. 52.
Orkan Wł. Idę ku tobie. Życie nr. 31.
Or-Ot. Wyznanie (wiersz). Kur. warsz. nr. 230.
— Marzenie. Kuryer warszawski nr. 216.
— Zegar, fantazya. Ateneum sierpień.
— Cicha miłość Kuryer warszawski nr. 237.
Pług A. Modni (wiersz). Kuryer niedzielny nr. 32.
— W albumie panny E. K. Kuryer niedzielny nr. 37.
Sołtys J. Czy będzie? Goniec wielkopolski nr. 206—208.
Sterling Wł. Z Tatr, poezye. Kuryer niedzielny nr. 38.
— Z cyklu: Drzewa. Prawda nr. 34.
— Burze górskie. Życie nr. 32.
Synoradzki W. Wychrzta, powieść z XVIII w. Niwa nr. 38. i dal.
Szamowska F. Cień. Głos nr. 38.
Szczepański L. Listy (wiersze) Kraj nr. 34.
Szukiewicz M. Rankiem nad Morskiem okiem. Życie nr. 36.
Tetmajer K. Na królewskiem jeziorze. Życie nr. 29.
Tryplinówna A. Z rodu „Latarnika". Kuryer niedzielny nr. 35.
Żuławski J. Sonety. Życie nr. 30 i 31.
— Biały szczur. Życie nr. 33.
— Dzwon cerkiewny (wiersz). Życie nr. 33,
— Rabi Tharfen, dzieciobójca. Życie nr. 36.

II. Historya literatury, rozprawy literackie, życiorysy literatów i uczonych i przyczynki biograficzne.

Bujak Fr. Franciszek Palacki i jego znaczenie dla odrodzenia Czech. Ateneum, wrzesień.
Celichowski W. Józef Supiński a rozwój teoryi ekonomicznych. Przegląd prawa i administracyi, czerwiec i lipiec.
G. B. Giacomo Leopardi. Ateneum, wrzesień.
Galle H. X. Krupiński jako filozof. Kuryer niedzielny nr. 31.
Kaczkowski Z. Mój pamiętnik z lat 1833—1853. Słowo polskie nr. 184 i dalsze.
Kozłowski Wł. M. Z literatury filozoficznej amerykańskiej. Ateneum, wrzesień.
Lange A. O romantyzmie przed Mickiewiczem. Życie nr. 31 i dal.
Massonius M. Franciszek Krupiński. Głos nr. 35.
Nawrocki Wł. Ze współczesnej poezyi niemieckiej. Ateneum wrzesień.
Orlicz T. Erotyzm w powieściach Sienkiewicza. Rola nr. 34 i dal.
Parczewska M. Ze świata literackiego Słowian. Głos nr. 39.
Pilecki A. O zapomnianym śpiewaku miłości (R. Berwińskim). Bluszcz, lipiec i sierpień.
Prasa cze-ka. Niwa polska nr. 38 i 39.
Próchnicki Fr. W sprawie nauki języka i literatury polskiej w trzech najwyższych klasach. Muzeum, październik.
Rolle M. Bohater mickiewiczowskiej tragedyi. Czas nr. 185 i dalsze. O Jakobie Jasińskim jenerale-poecie, który zginął na szańcach Pragi.
Spahić Gjurr. Literatura polska w Chorwacyi. Kraj nr. 33.
Świętochowski A. Franciszek Krupiński w Liberum Veto. Prawda nr. 35 p. t Wymagania czasu. Autor dowodzi, że Krupiń-kiego „nawet na naszem bezrybiu filozoficznem nie można nazwać grubą rybą."
Tarnowski St. Kornel Ujejski. (z portretem) Przegląd polski, wrzesień.
Waliszewski K. Rocznica Micheleta. Kraj nr. 30.
Warmski M. Myśli o reformie szkół na tle referatu prof. Zawilińskiego w sprawie nauki literatury polskiej. Słowo polskie nr. 153.
Winiarski L. Jeszcze o dramacie. Prawda nr. 32.

III. Rozprawy treści naukowej, społecznej itp.

Bugiel W. Stosunki polsko-czeskie na Szlązku austryackim Prawda nr. 32.
Chudziński A. Starożytność w świetle najnowszych badań. Ateneum, lipiec.
Czeczot X. Gdzie szukać prawdziwej filozofii (z powodu artykułu Lutosławskiego: Fałszywa filozofia). Kraj nr. 36.
Czermiński M. X. Odwiedziny Polaków w Bośni. Przegląd powszechny, lipiec.
Daszyńska Z. Gospodarstwa włościańskie i reforma rolna w Galicyi Prawda 32 i 33.
— Kapitalizm i narodowość. Życie nr. 36.
E-ski Przyczynek do pisowni polskiej. Przegląd pedagog. nr. 18
Hösick F. Saragossa. Kraj nr. 34 i 35.
Glińkiewicz J. Ruch ludności w Galicyi w r. 1895. Przegląd powszechny, sierpień.
Gozdawa M. Terytoryum księstwa pińsko-turowskiego. Ateneum, sierpień.
Gumplowicz M. Bolesław Śmiały i Biskup Stanisław. Kwartalnik historyczny, zeszyt III.
Jeleński J. Hr. St. Tarnowskiemu słów parę od antysemity. Rola nr. 31 i dalsze.
Joteyko Zofia. O życiu bez powietrza. Ateneum, sierpień.
Kopera F. Tak zwana korona Bolesława Chrobrego i pierwsze insygnia koronne Polski. Przegląd polski, sierpień i wrzesień.
Korczak. Emancypantka z XVI wieku Olimpia Morata. Ateneum, sierpień
Korzon T. Nauczanie historyi w szkołach pruskich. Przegląd pedagogiczny nr. 16.
Kozłowski Wł. M. O niektórych nowszych próbach klasyfikacyi umiejętności. Ateneum, sierpień.
Krzymuski E. Nietykalność poselska i prawo karne. Przegląd prawa i administracyi, lipiec i dalsze.

Kudelka T. Syndykaty czyli stowarzyszenia rolnicze we Francyi. Przegląd powszechny, lipiec i sierpień.
Kunik E. Lęchica. Kwartalnik historyczny, zeszyt III.
Kunz. Porównawcze zestawienie zasad ustroju szkół średnich europejskich. Muzeum, sierpień i wrzesień.
Lange A. O twórczości. Głos nr. 36 i dalsze.
Ledóchowski Wł. Kilka uwag o ostatnim kongresie robotników w Krakowie. Przegląd powszechny.
— O wątpliwościach przeciw wierze. Przegląd powsz., lipiec.
Lutosławski W. Fałszywa filozofia. Kraj nr. 30, z powodu „Żywota i myśli Zyg. Podfilip-kiego.“
Malinowski P. Charakter współczesny powinności orężnej w głównych państwach europejskich. Ateneum, lipiec.
Milewski J. Budżet i kredyt publiczny. Przegląd polski. lipiec, sierpień i wrzesień.
Mogilnicki A. Sąd przysięgłych. Ateneum, sierpień.
Morawski Z. Z dziejów Wenecyi w wieku XV. Przegląd polski. sierpień.
Moszczeńska J. Z psychologii dziecka. Przegląd pedagog. nr. 14.
Niedziałkowski K. X. Dobroczynność tańcząca. Rola, nr. 31 i dalsze.
Piłat Wł. Marx wobec ostatnich sądów nauki. Przegląd powszechny, sierpień.
— Sprawiedliwość społeczna w teoryi ewolucyi. Ateneum, lipiec.
Sygietyński A. Święty Marcin turczański. Kuryer warsz. nr. 230 i dalsze.
Trepka M. E. Gladstone. Ateneum. lipiec.
W. T. Snobizm. Przegląd powszechny, sierpień.
W sprawie reformy kaznodziejstwa. Gazeta kościelna nr. 37.
Załęski St. X. Jezuici w Gdańsku (1584—1608). Przegląd powszechny, sierpień.
Zanietowski J. Lombroso w świetle nauki przyrodniczo-lekarskiej. Przegląd powszechny. lipiec.

IV. Recenzye i sprawozdania.

Adalberg S. Zwierciadło Reja. (A. Brückner w Kwartalniku hist. Zeszyt III).
Askenazy A. Studja historyczne. (J. T. Hodi w Prawdzie 33).
— Z działalności ministra Lubeckiego. (A. Rembowski w Kur. Warsz. 209).
Bartoszewicz K. Księgi humoru polskiego. (G. Korbut w Głosie N. 32).
Beczkowska. Kędy droga. (Rusticus w Ateneum, lipiec).
Biegański St. Szkoły pijarskie w Polsce. (A. Karbowiak w Kwart. hist. Z. III).
Celichowski Z. Kupiec Reja. (A. Brückner w Kwart. hist. Z. III).
Chmielowski P. Tadeusz Czacki. (Fr. Majchrowicz w Muzeum, Sierpień).
Darowski A. Szkice historyczne. (J. F. Gajsler w Głosie N. 35).
Daszyńska Z. Zarys ekonomii. (B. B. de C. w Kraju, nr. 29).
Deotyma. Panienka z okienka. (M. Rolle, Gaz. Lwowska 167).
Dębicki X. Przyszłość Chin. (L. w Gazecie polskiej 38. i M. Rolle w Gazecie Lwowskiej 183).
Dybowski. Składniki rasowo-plemienne u Adama Mickiewicza (F. Chłapowski w Przeglądzie Powszechnym, sierpień).
Dygasiński A. Pióro. (Wł. Jabłonowski w Głosie, nr. 31).
Feldman W. Ananke. (Wł. Bukowiński w Prawdzie, 31).
Felińskiego Arcyb. Pamiętniki. (M. Rolle Gaz. lwowska 80, 81, 84).
Flach J. Gerhart Hauptmann (Ateneum, sierpień i M. Rolle w Gaz. Lwowskiej, 104).
Gadon L. Paryż po upadku Warszawy w r. 1831 (Wł. Mickiewicz w Kwartalniku historycznym, zeszyt III.
Gruszecki A. Krety. (Wł. Jabłonowski w Głosie 35).
Gubrynowicz B. Pamiętniki Paska. (Al. Cz. w Gazecie Polsk. 36).
Hahn W. Tło historyczne w Irydionie Krasińskiego. (M. Reiter w Muzeum, sierpień i wrzesień.
Hirschberg. Dymitr Samozwaniec. (St. Ptaszycki w Kraju nr. 31).
Jankowski Cz. Korespondencya Radziwiłła Panie Kochanku. (S Askenazy w Kwartalniku historycznym, zeszyt III).
Jasieńczyk M. W Wielgiem. (Wł. Bukowiński w Prawdzie 38)
Junosza K. Za mgłą. (K. Kaszewski w Gazecie polskiej 99).
Karbowiak A. Dzieje wychowania w Polsce. (M Offmański w Przeglądzie tyg. Nr. 32 i J. Gajsler w Głosie nr. 38).
— Bydgoszcz a Pakość (Z. K. w Przeglądzie Polskim, wrzesień).
Karłowicz J. Gwara Kaszubska. (G. F. Geisler w Prawdzie 37).
Kasprowicz J. Krzak dzikiej róży. (Al. Cz. W Gazecie Polskiej 38. i W Feldman w Kraju 33).
Kondratowicz S. Fałsze życia (Rutkowski Z. w Ateneum, lipiec).
Konopnicka M. Nowele. (Wł. Jabłonowski w Głosie 34).
Koszutski St. Z bólów duszy. (Wł. Bukowiński w Gazecie polskiej 58. i H. G. w Ateneum, sierpień).
Kraushar A. Książe Repnin. (I. T. Hodi w Prawdzie 37. i Al. Cz. w Gazecie Polskiej, nr. 40).
Krechowiecki A. Rdza. (Hodi w Ateneum Lipiec).
Król K. i *Nitowski J.* Podręcznik do nauki literatury polskiej. (G. Korbut w Głosie, nr. 40. I. H. Galle w Ateneum Wrzesień. J F. Geisler w Prawdzie 38).
Lange A. Poezye. (F W. w Kraju, nr. 34).
Manteuffel G. Cywilizacya nad Bałtykiem. (Wł. Łuszczkiewicz w Przeglądzie Polskim i A. Mohl w Przeglądzie Powsz. sierpień).
Mereżyng H. Mikołaj Kopernik (Srokowski w Przeglądzie Polskim wrzesień).
— Miasto Lwów w okresie samorządu (A. Rembowski, w Kur. Warsz. nr. 39).
Miecznik A. Owanes Ohana. (Wł. Bukowiński w Prawdzie, 31).
Młynek L. Pieśni ludu Wielickiego. (S. Udziela w Kwartalniku hist. Zeszyt III).
Mycielski J. Książe panie Kochanku. (S. Askenazy w Kwartalniku hist. Zeszyt III).
Orzeszkowa E. Iskry (M. Rolle. Gaz. Lwowsk., nr. 104. i Wł. Jabłonowski w Głosie, 34).
Pamiętnik tow. lit. im. Adama Mickiewicza. Rocznik VI. (M. Rolle Gaz. Lwowsk., 188—189).
Pawlikowski M. Baczmaha. (Ateneum, sierpień).
Pelczar J. X. Zarys kaznodziejstwa. (W. Ł. w Przeglądzie Powszechnym, sierpień).
Piekosiński A. Rycerstwo Polskie. (A. Jabłonowski w Kwartalniku histor. Zeszyt III).
Na końcu odpowiedź prof. Piekosińskiego.
— Czy Jagiełło był królem za życia Jadwigi. Laudum wojnickie z r. 1503 (A. Prochaska w Kwartalniku hist. Zeszyt III).
Pini T. Mickiewicz jako wydawca poezyi Garczyńskiego (K. Bronikowski w Kwartalniku hist. Zeszyt III).
Plenkiewicz R. Jan Kochanowski. (St. Tarnowski w Przeglądzie Polskim, sierpień).
Potocki J. Somali. (M. w Przeglądzie powszechnym, lipiec).
— Przegląd filozoficzny. (K. Twardowski w Życiu, nr. 32. i Wł. Jabłonowski w Głosie nr. 30).
Przybyszewski St. Über-Bord. Homo sapiens. (Z. Daszyńska w Głosie, nr. 31).
Radziwiłł M. Bliźni. (St. F. w Ateneum, sierpień).
Reymont W. Spotkanie. (Wł. Jabłonowski w Głosie, 34).
Rojan K. Doborowe otoczenie. (M. Rolle Gaz. Lwowsk. 167).
— Szczęście (L. R. w Ateneum, lipiec).
Rolle M. Ateny Wołyńskie. (A. Karbowiak w Przeglądzie powsz. lipiec).
Scarebejus. Wrażenia starego kawalera. (Hodi w Ateneum, sierpień).
Sieroszewski W. W matni. (Wł. Jabłonowski w Głosie, 34).
Skarżyński W. Machiavel a Andrzej Frycz Modrzewski. (M. Rolle Gaz. Lwowsk. 174).
Smoleński Wł. Szkoły historyczne. (I. T. Hodi w Prawdzie 33).
Stopka A. Rycerze śpiący w Tatrach. (A. W. w Życiu, nr. 32).

Szczepański L. Hymny (Ar. Les w Ateneum, lipiec).
Tarnowski St. Hieronim Kajsiewicz. (J. Bystrzycki w Przeglądzie Powszechnym, lipiec).
Tetmajer Przerwa K. Anioł śmierci. (M. Rolle Gaz. Lwowsk. 143., I. Flach w Przeglądzie polskim za wrzesień, F. J. Choiński w Kur. Warsz. nr. 188. i Wł. Jabłonowski w Głosie, 35).
— Poezye, Serya III. (W. F. w Kraju, nr. 32).
Twardowski K. Wyobrażenia i pojęcia. (X. Pechnik w Przeglądzie polskim, wrzesień).
Wasilewski K. Marysieńka. (T. W. w Przeglądzie Powsz, lipiec).
Weyssenhoff Józef. Żywot i myśli pana Podfilipskiego. (M. Rolle Gaz. Lwowsk., 168., J. Flach w Przeglądzie Polskim za wrzesień i T. J. Choiński w Kur. Warsz. 188).
Wierzbowski T. Pieśni Seklucyana i Zwrócenie Matyasza z Podola. (A. Brückner w Kwartalniku hist. Zeszyt III).
Włast J. Opowiadania historyczne z okolicy Słuczy. (Wołyniak w Kwartalniku histor. Zeszyt III).
Zabojecka M. Dusza (Wł. Jabłonowski w Głosie, 34).
Zakrzewski Wł. Historya starożytna i wieków średnich. (H. Galle w Przeglądzie pedagogicznym, nr. 14).
Życiorysy sławnych Polaków. Wydawnictwo Grendyszyńskiego (P. Chmielowski Gazeta polska 43).

Rzeczy polskie w obcych literaturach.

I. Przekłady z polskiego.

— Wrześniowe numery dziennika wiedeńskiego „Arbeiter Zeitung“ przynoszą przekład powieści *E. Orzeszkowej* p. t. „Dwa bieguny.

— Nr 1 czasopisma „Moderni revue,“ czeskiego organu „najmłodszych“ przynosi przekład artykułu *J. Matuszewskiego* p. t. „Dzisiejsze doktryny spirytystyczne i okkultystyczne w Europie“

— P. Adolf Černy wykonał dla repertuaru sceny praskiego „Narodnego Diwadla“ przekład dramatu *Sewera-Maciejowskiego* p. t. „Marcin Łuba.“ Przekład ten wyszedł w Pradze, nakładem Fr. Simačka.

— P. Paweł Styczyński wydał w Wrocławiu tłomaczenie niemieckie powieści *B. Prusa* „Die kleine Angelica.“

— „Corriere Neapoli“ rozpoczął z dniem 1. października druk włoskiego tłomaczenia powieści *H. Sienkiewicza* „Quo vadis“ pióra p. F. Verdinois.

— Panyrek Vaněk wydał czeski przekład *Gawalewicza* „Porcelanowej czaszy.“

— Na czele wrześniowego zeszytu „Łużicy“ znajdujemy tłomaczenie „Chorału“ *K. Ujejskiego*, dokonane przez p. A. Černego.

— Sierpniowy zeszyt „Russkiej myśli“ przynosi przekład noweli *E. Orzeszkowej* p. t. „Z požaru“ i znaną charakterystykę Bismarka pióra *Sienkiewicza*, drukowaną przed trzema laty w „Gegenwart.“

— Nowelę *M. Konopnickiej* p. t. „Banasiowa“ przełożył na język czeski Fr. J. Pavlišta w 257 nrze „Narodnich listów,“ w tymże samym numerze spotykamy: *Szczęsnej* „Skrzydła i pazury“ w przekładzie V. Kredby.

— Monachijska „Allgemeine Zeitung“ zapowiada przekład powieści *Krechowieckiego* „Jestem,“ który niebawem pomieszczać będzie w swoich łamach. Dziennik ten podaje przytem krótką treść powieści oraz biografię autora.

— A. Schwab Polabsky wydał czeskie tłomaczenie powieści *Bałuckiego* p. t. „Ženy otrokyne.“

— Powieść *T. Jeske Choińskiego* „Gasnące słońce“ ukazała się obecnie w niemieckim przekładzie J. Glinkiewicza, nakładem firmy J. R. Bachem w Kolonii. Tytuł jej brzmi „Eine Sonne im Erlöschen.“

— Studyum *Maryi Krzymuskiej* „Gerhard Hauptmann“ podają „Literarni Listy“ nr. 21–24.

II. Udział Polaków w obcych literaturach.

— P. *Stanisław Skarzyński* wydał w Paryżu rzecz pt. „Essais sur le homestead europeen.“

— W 24 nrze „Astronomische Nachrichten,“ wychodzących w Kiel, znajdujemy rozprawę p. *Z. Grabowskiego* p. t. „Beobachtungen vom kleinen Planeten am fünfzölligen Refractor der königlichen Sternwarte in München.“

— W Insbrucku wyszła rozprawa śp. *Dra M. Gumplowicza* p. t. „Zur Geschichte Polens im Mittelalter, zwei kritische Untersuchungen über die Chronik des Balduin Gallus.“

— *G. H. Niewęgłowski* wydał w Paryżu rzecz „Technique et applications des rayons X Traite practique de radioscopie et de radiographie.“

— W Królewcu ukazała się rzecz p. *Bronikowskiego* pt. „Die Glaube an die Unsterblichkeit der Seele im Schillers Leben, Philosophie und Dichtung.“

— *Dr A. Adamkiewicz* wydał w Hannowerze rozprawę pt. „Die Functionsstörungen des Grosshirns.“

— *Eugeniusz Römer* celem pozyskania stopnia doktorskiego wydał w Monachium książkę „Beiträge zu Litauens Wirtschafts Geschichte.“ Są to dzieje stosunków rolniczych na Litwie, w których autor rzucił światło na genezę poddaństwa chłopów i prawodawstwo stanowe aż do r. 1857.

III. Cudzoziemcy o rzeczach polskich.

— W zeszycie 8-mym rosyjskiego miesięcznika „Kijewskaja Starina“ zamieścił p. K. Peretz rzecz p. t. „Filar wiary,“ nowo odnaleziony utwór Łazarza Baranowicza.

— „Slovanski Svet“ podaje w nrze 18 wzmiankę o *Dra Tretiaka* „Młodość Mickiewicza“ i o wydawnictwie „Jednodniówki monachijskiej“

— Nr 234 „Narodnich listów“ przynosi recenzye pracy *Dra M. Hirszberga* „Dymitr Samozwaniec“ i *Dra J. Karłowicza* „Gwara kaszubska.“

— K. Křivy zamieścił w „Literarnich listach“ (nr. 22) oceny następujących rzeczy polskich: *E. Orzeszkowej* „Iskry,“ *Konopnickiej* „Dym,“ *Dra Chmielowskiego* „Nasza literatura dramatyczna“ i *Stan. Bełzy* „W stolicy padyszacha.“

— Dr. Posewitz wydał w Budapeszcie „Reisehandbuch durch Zipsen, Hohe Tatra und Zipser Mittelgebirge.“

— F. Verdinois ogłosił w dzienniku „Corriere di Neapoli“ obszerniejsze studyum o *Sienkiewiczu*, którego stawia na czele dzisiejszych europejskich powieściopisarzy. „Quo vadis“ jest, jego zdaniem, najpiękniejszą powieścią, jaką bieżący wiek wydał.

— Z powodu świeżo wydanego przekładu powieści *Bałuckiego* „Ženy otrokyne“ ukazały się recenzye tej powieści w trzech pismach czeskich w nrze 42 „Zlatej Prahy,“ 227 „Narodnich listów“ i 67 „Radikalnich listów“.

— W jednym z feljetonów rosyjskiego dziennika „Nowosti“ ogłosił p. J. Miński charakterystykę *H. Sienkiewicza* z powodu ukazania się pełnego zbioru dzieł naszego powieściopisarza w rosyjskim przekładzie. „W Rosyi — powiada Miński — każda powieść Sienkiewicza ukazuje się w kilku naraz tłomaczeniach, które w krótkim przeciągu czasu wychodzą w drugiem i trzeciem wydaniu. Niedawno jedna z gazet amerykańskich ogłosiła ankietę, który z autorów jest najpoczytniejszy i okazało się, że jest nim twórca „Quo vadis.“ Wobec tego może sobie lekceważyć Sienkiewicz przysięgłych europejskich krytyków, którzy więcej np. zajmują się takim Maeterlinkiem, aniżeli nim, gdyż wielkie utwory takich geniuszów jak Homer i Szekspir komentatorów nie potrzebują. O Sienkiewiczu można powiedzieć, iż nie jest pisarzem dla pisarzów, ale pisarzem dla tłumów.

— Czasopismo angielskie „Mind“, kwartalnik filozoficzny, obejmuje dwie prace poświęcone rozwojowi polskiej wiedzy. Profesor wszechnicy w Cambridge Jakób Lindeny pomieścił studyum o *Henryku Dziewulskim* z powodu jego traktatu o Wiklefie, wydrukowanego po łacinie. Uczony angielski Józef Adam zastanawia się tamże nad dziełami *Lutosławskiego*, wydanemi po angielsku i niemiecku.

— Do dziejów stosunków szwedzko-polskich Dr Th. Westrin wydał w XXI zesz „Wiadomości z archiwum państwa szwedzkiego“ spis dokumentów, dotyczących królewskiego domu szwedzkiego, a znajdujących się w tem archiwum (Meddelanden fran Svenska Rikserhibet. XXI str. 445—474. Nry 7—8 (18 dokumentów), dotyczą sprawy wierzytelności króla szwedzkiego Jana III do skarbu polskiego i do spadku po Zygmuncie Auguście z tytułu posagu żony Katarzyny Jagiellonki (l. 1572—1585).

— Miesięcznik „Englisch Historical Reviev“ zamieścił rozprawę H. Havelocka p. t. „Dzieje kozaków na początku XVII-go stulecia.“

— Amerykański „Atlantic Monthly“ w numerze lipcowym podał artykuł A. Cahana „O żydach polskich w Ameryce.“

— Miesięcznik „Music“ zamieścił niedawno duży artykuł Maurycego Aronsona p. t. „Polacy w muzyce,“ czerwcowy zaś zeszyt „Musical Record“ rzecz p t. „Chopin i jego wykonawcy.“

— *Du Martrey* le général. Maximes conseils et instructions. sur l'art de la querre, ou aide, mémoire pratique de la guerre nouvelle edition, avec notes du general *Dembinski*. Paris. 1898.

— *Nessemann dr prof.* Ein Denkmal des Johann Amos Comenius im Lissa zum 350 jährigen Jubilaeum der Unität am 26, VIII 1898 ein geschichtlicher Rückblick.

— Do dziejów uczoności żydowskiej w Polsce zawiera przyczynek drobny notatka Dra D. Kaufmanna o rabinie Chaimie Jonie Theomimie Fränklu z XVIII w. w „Monatschr. f. Gesch. u. Wiss. d. Judenthums zesz. lipcowym.

— Londyński „Windsor Magasine“ podał życiorys hr. Gołuchowskiego z portretem i ilustracyami.

— Oceny „Marcina Łuby,“ dramatu *Sewera*, wystawionego w teatrze praskim, podają: „Narodni listy“ (nr. 254), „Čas“ (nr. 38) i Svet (nr. 45).

— Do dziejów cechów w Polsce stanowi przyczynek artykul „Z dávnoverkosti Těšina. Pamatky cechu kozesznického“ („Wiestnik Matice opawské“ nr. 7).

— Do dziejów handlu polskiego ważne szczegóły podaje Dr J. Hertung w rozprawie „Aus dem Geheimbuch eines deutschen Handelshauses im 16. Jhdt.“ (VI Zeitschrift für Sozial- u Wirtschaftsgeschichte).

— Miesięcznik londyński „Catholic World“ w zeszycie majowym wydrukował artykuł księdza Jerzego Mac Demnot'a p. t. „Henryk Sienkiewicz.“ O tym e powieściopisarzu poważny miesięcznik londyński „Century Magazine“ w zeszycie lipcowym zamieścił artykuł pióra Curtina p. t. „*Sienkiewicz* autor Quo vadis,“ dołączając przytem portret znakomilego pisarza.

— *Niessel*. Les Cosaques, études historique, geographique, économiques et militaire par le capitaine brevete Paris Lavauselle 1898.

— Ernest Belau wydał paszkwil powieściowy p. t. „Ostmark und Krumiteh.“ W opowiadaniu występują arcybiskup Przyłuski oraz X. Jan Koźmian. Bohaterem jest Włodzimierz von Ruszczinsky. Rzecz naturalnie dzieje się w Poznańskiem. Katolicyzm i polskość przedstawione po bismarkowsku

---

Treść Nru 18 i 19 „Przeglądu literackiego“:

Obecne nra wychodzą spóźnione z początkiem grudnia. W grudniu ukażą się jeszcze nra za listopad.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca:
Kazimierz Bartoszewicz.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Spółki w Krakowie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Askenazy Szymon. Studya historyczno-krytyczne, wydanie drugie, przejrzane i poprawione 2 złr. 80 ct.
Arwor. Na giełdzie cnoty, powieść. 1 zł. 30 ct.
Album jubileuszowe Henryka Sienkiewicza, główniejsze postacie i sceny z powieści i nowel Sienkiewicza, w 20 ilustr., z wstępem krytycznym St. hr. Tarnowskiego. W ozdobnej opr. 10 złr. 40 ct., w wydaniu ozdob. fol. w oprawie 20 złr.
Asnyk Adam. Pisma. Wydanie nowe z portretem autora, 5 tomów 6 złr. 50 ct.
Berger H. Łatwa metoda nauczenia się języka angielskiego, z wymową i kluczem. 2 złr.
Berger H. Łatwa metoda języka francuskiego z kluczem, 1 złr. 30 cnt.
Bełcikowski Adam. Dramata i komedye 5 tomów 7 złr. 50 ct.
Chmielowski Piotr. Adam Mickiewicz. Zarys biograficzno-literacki. Wyd. drugie, poprawione z dwoma portretami poety. 2 tom. 4 złr. 80 ct.
Chmielowski P. Obraz literatury polskiej w streszczeniach i celniejszych wyjątkach. Wychodzi w zeszytach po 50 ct., całość wyjdzie w 20 zeszytach.
Dębicki M. W. Ks. Przyszłość Chin, z ilustr. 1 złr. 20 ct.
Faifofer. Pierwsze początki geometryi. 1 złr. 60 ct.
Flach Józef. Gerhart Hauptman. 2 złr.
Gliński K. Wróci, powieść. 1 złr. 60 ct.
Gloger Zygmunt. Skarbczyk. Baśnie i powieści z ust ludu i książek. Wyd. trzecie pomnożone. 26 ct.
Godlewski W. Neron Chrystyanizmu. Powieść historyczna. 2 złr.
Góralczyk K. (Wł. L. Anczyc). Dzieje Polski w 24 obrazach, wyd. nowe ozdobne, kolor. rycinami. W opraw. kart. 65 ct.
Gawalewicz M. Motyl, Philemon i Baucis, Ostatnia schadzka, Filiżanka, Prolog, (Biblioteczka ilustr.), z ilustr. P. Stachiewicza. 1 zł. 30 ct., w ozdobnej oprawie 1 zł. 70 ct.
Gruszecki Art. Krety, powieść współczesna. 2 złr.
Gostomski W. Historya literatury powszechnej w zarysie. Wychodzi w zeszytach po 65 ct. Całość wyjdzie w 12 zeszytach.
Gruszecki Art. Hutnik, powieść współczesna. 1 zł. 10 ct.
Hoesick F. Życie Juliusza Słowackiego na tle współczesnej epoki 1809—1849), biografia psychologiczna. 3 tomy. 10 złr.
Jeske-Choiński D. Ostatni Rzymianie, powieść z czasów Teodozyusza Wielkiego. 3 tomy. 3 złr. 20 cnt.
Jeż T. T. Którędy do szczęścia, powieść. 1 złr. 30.
Karłowicz Jan. Słownik wyrazów obcego pochodzenia, używanych w języku polskim, zesz. II. (od F. do K. włącznie). 2 złr.
Konopnicka M. Dym, Nasza szkapa, Głupi Franek (Biblioteczka ilustr.) z ilustr. Sawiczewskiego. 1 zł. 30 ct, w ozdobnej oprawie 1 zł. 70 ct.
Konopnicka M. Linie i dźwięki. 1 złr. 30 cnt., w oprawie ozdobnej 1 złr. 80 cnt.
— Ludzie i rzeczy, szkice i obrazki. 2 zł. 60 ct.
Katull. Poezye, tłomaczył J. Czubek. z ilustr. Włod Tetmajera 1 złr. 20 ct.
Kotarbiński J. Niezdrowa miłość, szkice obyczajowo-psycholog. 2 złr.
Krasiński Zygmunt. Wybór pism, wyd. miniaturowe, z portretem autora. 1 złr. 30 ct., w ozdobn. opr. 2 złr. 40 ct.
Krechowiecki A. Rdza, powieść 2 tomy. 3 złr. 20 ct.
Mickiewicz Adam. Poezye. Nowe wyd. z życiorysem autora, skreślonym przez Piotra Chmielowskiego. 4 tomy. 80 ct.
Matuszewski Ign. Swoi i obcy (pokrewieństwa i różnice), zarysy literacko-estetyczne. 2 zł. 60 ct.
Młoda Polska w pieśni. Wybór celniejszych poezyi ostatniej doby, ułożył Czesław Jankowski. 2 zł., w ozdobnej oprawie 2 50, brzegi złote 3 zł.
Nusbaum J. prof. Wiadomości początkowe z biologii. Z ilustrac. 1 złr. 10 ct.
Orkan Wł. Nowele. Z przedmową Kazimierza Tetmajera. 1 złr. 30 ct.
Odyniec A. E. Tłomaczenia, wydanie trzecie, 2 tomy, 4 złr.
Pawlikowski Mieczysław. Baczmaha, szkic powieściowy z ilustrac. Wł. Tetmajera. 2 złr.
Radziwiłł Michał ks. Bliźni, zbiór nowel z ilustr. Cz. Jankowskiego. 2 złr.
Reymont Wł. S. Spotkanie. Szkice i obrazki. 2 złr.
Rojan Kazim. Doborowe otoczenie, powieść. 1 złr. 30 ct.
Sienkiewicz H. Pisma, tom XXX. Listy z Afryki. Wydanie 2-gie 1 złr 30 ct.
Stevenson. Przygody księcia Ottona, przekład z ang. 1 złr. 10 ct.
Skarytka W. Praktyczny bartnik. Teoretyczno-praktyczny, ilustrowany przewodnik dla początkujących pasieczników. Przełożył z niemieckiego prof. Bron. Gustawicz. 1 złr. 20 ct.
Smoleński Wład. Ostatni rok sejmu wielkiego. Wydanie drugie, niezmienione. 4 złr. 40 ct.
Sienkiewicz H. Na jasnym brzegu, nowela. 1 złr. 30 cnt., w ozdobnej oprawie 1 złr. 70 ct.
— Bez dogmatu. Wyd. nowe, 3 tomy. 3 złr. 90 cnt.
— Quo Vadis. Powieść z czasów Nerona, wyd. II-gie, 3 tomy. złr. 3 ct. 90.
Sieroszewski Wł. W matni. 1 złr. 80 cnt.
Studnicki Wł. Współczesna Syberya. 1 złr. 60 cnt.
Tetmajer Kazm. Anioł śmierci, romans. 2 tomy. 2 zł. 60 ct.
— Poezye III. 1 zł. 30 ct.
Zabojecka M. Dusza. 1 zł.
Żeleński W. Nauka pierwszych zasad muzyki. 1 złr. 30 ct.

W drukarni A. Koziańskiego w Krakowie.